

Rozdział X

Na wieczornej herbacie u Culmera zastał kilkunastu panów, wśród których aż trzech byłych ministrów; pozostali byli to profesorowie, sędziowie. Adwokaci, wreszcie jeden powieściopisarz.

Jednego z obecnych gospodarz, niby przez roztargnienie, nie przedstawił mu ani z tytułu, ani z nazwiska. Był to człowiek starszy, miał z sześćdziesiąt pięć lat, mały, brzydki -z typu podobny do służącego Jakuba. Tylko gdy Jakub nie wyglądał wcale na głupiego, ten miał wyraz twarzy szczególnie tępy. Nie odezwał się ani słowem przez cały wieczór i znikł wcześniej od innych, nie żegnając się z nikim.

Wszyscy obecni chodzili kolo niego z jakimś nabożeństwem. jakby był dla nich najwyższą powagą.

Rozmowa toczyła się o zagadnieniach doby współczesnej: o komunizmie, o bezrobotnych, o maltuzjanizmie, o pacyfizmie, o arbitrażu, o Lidze Narodów... Twardowski, który w tych sprawach miał poglądy, kłójące się z ogólnie przyjętymi, postanowił ich nie ujawniać. Bawił się w duchu, wygłaszając z emfazą utarte komunały, będące w obiegu na Zachodzie. Widział, że to sprawia gospodarzowi i jego gościom, ogromną przyjemność. Niemal wszyscy obdarzali go komplementem, że jest europejskim człowiekiem.

W dwa dni po tej herbatce Culmer zadzwonił do niego z zapytaniem, kiedy może przyjść na dłuższą rozmowę. Umówili się co do godziny.

- Oho - rzekł do siebie Twardowski - zbliża się punkt kulminacyjny w rozwoju przyjaźni z panem Henrykiem Culmerem. Ciekaw jestem, z czym on przyjdzie...

Culmer tym razem był znów namaszczony. Zaczął od tego, że Twardowski zrobił bardzo dobre wrażenie na jego gościach. Mówił to takim tonem, jakby mu wieszował zdania egzaminu. Później zaczął mówić o jego przyszłości, o karierze, która przed nim leży.

- Ma pan wszelkie warunki, żeby zając wysokie stanowisko i stać się człowiekiem głośnym, nie tylko w tym kraju.

Twardowski dyskretnie robił minę, jakby się zaczynał do tych perspektyw zapalać.

- Chce panu do tego pomóc – ciągnął dalej Culmer. – Chce pana zbliżyć, powiem więcej, związać z ludźmi, mającymi wielkie wpływy w kraju i za granicą. Wielkie wpływy - to mało powiedziane: rządzą oni wszędzie i decydują o karierach ludzkich; nimi zawsze się dochodzi, bez nich nigdy.

Przerwał i obserwował, jakie jego słowa wywarły na Twardowskim wrażenie. Ten milczał, ale miał wyraz twarzy prawie entuzjastyczny.

- Właściwie dziwne jest, że pan dotychczas z nimi się nie związał, że pan nie zetknął się z nami za granicą. Jesteśmy wszędzie. Tłumaczyć to można tylko tym, że pan tak samotnie, tak na własną rękę chodził po świecie.

Twardowski wyraził zdziwienie, że istnieje na świecie taka potężna organizacja, o której on nic nie wiedział. Prawda, że siedział w książkach i zajmował się przedmiotem nie wymagającym związku z życiem...

Culmer zaczął wymownie wyklądać cele i zadania tej organizacji: jak popiera ona wszędzie prawdziwy postęp, broni sprawiedliwości, opiekuje się słabymi, walczy z gwałtem i przemocą, tępi obskurantyzm, uczy kochać ludzkość, bez względu na różnicę ras i wyznań itd., itd.

Twardowski wyglądał na zachwyconego.

- Teraz przechodzę do najważniejszego - mówił Culmer. - Pan zajmuje się nauką... Ale żeby pan był człowiekiem nawet genialnym i pracował przez całe długie życie, zawsze pan zostanie w granicach wiedzy dostępnej dla ogółu, dla tłumu. Zawsze niedostępna będzie dla pana wiedza wyższa, wiedza wybranych, wiedza o tym, co zawsze dla tłumu było cudem. Zwłaszcza w dziedzinie pańskiego przedmiotu, psychologii.

Do Twardowskiego już próbowali tak mówić niektórzy ludzie za granicą. Traktował ich jak szarlatanów. Tym razem postanowił słuchać z udaną powagą.

- Skądże wy tę wiedzę macie? - zapytał.

Culmer zaczął mówić prawie rytmicznie, jakby deklamował jakiś wyuczony poemat. Twarz mu się zmieniła, oczy, utkwione w Twardowskiego, nabrały dziwnego wyrazu...

Twardowski to znał: widział podobne operacje w pracowniach i klinikach.

- Nie wiedziałem - rzekł do siebie w duchu - że pan mecenas Culmer jest także hipnotyzerem. Zobaczmy, jak on to robi...

Culmer w najmniejszej mierze nie podejrzewał, że ma przed sobą człowieka z rozległą i gruntowną wiedzą o duszy ludzkiej w rozmaitych jej odmianach i stadiach rozwojowych, o reakcjach między duszami jednostek: o sugestii, hipnotyzmie, telepatii, wreszcie o dziejach duchowych ludzkości. Nie wiedział, że ten młody psycholog studiował autorów starożytności, najdawniejsze dokumenty pisane i że wie dobrze, co mówią o przeszłości człowieka szczątki, pozostałe po dawnych cywilizacjach, spod powierzchni ziemi wydobyte.

Temu człowiekowi, operującemu wszystkimi wiadomościami, zdobytymi przez sumienne, metodyczne badania, deklamował niezdatną opowieść, będącą zlepkiem starych podań Wschodu, wytworów fantazji indywidualnej, starych i względnie nowych, ale jednych i drugich z czasów, kiedy ludzie mieli bardzo mętne pojęcia o prawach, rządzących przyrodą i historią.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego słuchacz, trzeźwy, zimny, krytyczny, śmieje się w duchu z dzisiejszego człowieka, niby inteligentnego i wykształconego, który może z powagą podobne brednie powtarza.

Plół duby smalone o Atlantydzie, o jakiejś genialnej rasie ludzi, która żyła na ziemi przed setkami tysięcy lat, o wiedzy przez nich posiadanej, o ich pozostałych potomkach, którzy tę wiedzę odziedziczyli i zazdrośnie jej strzegli przed tłumem, przed niższym gatunkiem ludzi. Mówił o Indiach, o których odleglejszej przeszłości nikt nic, prócz wybranych, nie wie, o kapłanach egipskich i chaldejskich, których tajemnice nikomu nie są znane, o przechowywaniu tych tajemnic przez mędrców Izraela, o przedostaniu się tej wiedzy do Europy, raz w czasach greckich, w czasach Pitagorasa oraz misterii eleuzyńskich i orfickich, później pod koniec wieków średnich, o jej panowaniu w najwyższych umysłach humanizmu, reformacji, a później siedemnastego i osiemnastego wieku, wreszcie o jej zamknięciu w łonie potężnej organizacji, która przez nią doszła do panowania nad światem.

Dla Twardowskiego niewiele w tym wszystkim było nowego. O jednych rzeczach wiedział, innych się domyślił na podstawie swych dziesięcioletnich studiów.

Umiałby dać o tym wszystkim Culmerowi wykład, tylko o wiele logiczniejszy i nie kłóący się z danymi dzisiejszej wiedzy, nie odbiegający od podstaw naukowego myślenia. Wiedział także, co to jest ta potężna organizacja, w której imieniu Culmer przemawiał.

Nie ujawniał wcale tego, co myśli; postanowił grać dalej komedię.

Culmer, pewny swego magnetycznego wpływu na słuchacza, był coraz mniej ostrożny, wypowiadał się coraz śmieiej, coraz zuchwalej.

Wreszcie skończył. Patrzył na Twardowskiego, który siedział pokornie, niby całkiem ujarzmiony. Po dłuższym milczeniu Twardowski zapytał słabym głosem:

- Co mam zrobić, żeby tę wiedzę posiąść?

- Wejść do nas: już postanowiono pana przyjąć. Musisz pan złożyć przysięgę na dochowanie tajemnicy, przejść inicjację i wytrzymać próby, którym będziesz poddany.

Twardowski dowiedział się wyraźnie, o co chodzi. Wstał z fotela, wziął papierosa, zapalił i rzekł spokojnym, ale mocnym głosem:

- To znaczy: utracić moją niezależność.

Culmer osłupiał. Zmiana tonu Twardowskiego była dla niego całkiem nieoczekiwana. Przez chwilę nie mógł słowa przemówić. Wreszcie odezwał się:

- W pewnej mierze tak. Trzeba czymś zapłacić, gdy się tak wiele otrzymuje.

- Dla mnie - odrzekł Twardowski - moja niezależność nie ma ceny.

- Wiec pan odmawia?

- Odmawiam.

- Panie, niech pan pamięta o naszej zasadzie: kto nie z nami, ten przeciw nam. Niech pan się zastanowi nad skutkami swego kroku.

Był wyraźnie zdenerwowany.

Twardowski się zreflektował, że może zbyt stanowczo odpowiedział. Na to jeszcze za wcześnie. Trzeba jeszcze zachować możliwość pociągnięcia Culmera za język, jeżeli ma wykryć tajemnice stryja...

- Zastanowię się - rzekł. - Pan rozumie, że to krok ogromnej wagi. Nie można się w jednej chwili zdecydować. Trzeba go pod każdym względem rozważyć. Żądam od pana paru tygodni czasu.

Culmer milczał przez dłuższą chwilę.

- Zgadzam się, ale radzę panu powziąć decyzję jak najrychlej. Leży to w pańskim interesie.

- Czy mogę panu zadać jedno pytanie?

- Niech pan zada; zobaczę, czy mogę odpowiedzieć.

- Czy stryj mój, Alfred, do was należał?

Culmer zawahał się, ale widocznie pomyślał, że odpowiedź może przyspieszyć decyzję Twardowskiego.

-Tak.

- Dziękuję. W ciągu najdalej trzech tygodni dam panu odpowiedź.

Culmer ociągał się, jakby jeszcze chciał coś powiedzieć. Widocznie jednak nic do powiedzenia nie znalazł i niechętnie wyszedł.

Twardowski zrozumiał, że położenie jego zaczyna być trudne. Culmera nie da się utrzymać długo w zawieszeniu. Z chwilą zaś, kiedy mu da odpowiedź ostateczną - odmowną, bo innej dać nie może, stosunki będą zerwane. To zaś może przeciąć dalsze jego poszukiwania.

Dla zyskania na czasie i zabezpieczenia się od natrętnych telefonów mecenasa postanowił wyjechać nazajutrz do Turowa.

Wieczorem zabrał się do robienia notatek z rozmowy z Culmerem. Miała ona nie tylko duże znaczenie dla jego obecnych poszukiwań, ale była również - wcale ważnym przyczynkiem do jego studiów. Kierownikom organizacji, do której Culmer chciał go wciągnąć, przypisywał posiadanie pewnych wiadomości z zakresu wiedzy hermetycznej starożytnych, która studiował. Skąpe rewelacje Culmera potwierdzały to, zarówno jak i jego opinie, że wiedza ta do nich doszła tylko w malej części i do tego w postaci zwulgaryzowanej skutkiem tego, że od ludów cywilizowanych

starożytności przechodziła ona drogą tradycji ustnej i niezdarnych praktyk przez pokolenia niskiego poziomu cywilizacyjnego i umysłowego.

Zadawał sobie mimochodem pytanie, jakim sposobem można brać dziś ludzi inteligentnych na taką opowieść, jaką słyszał z ust Culmera, na taki stek sprzecznych z dzisiejszą wiedzą bredni. Mogło to oszalać ludzi dawniej z ich skąpą wiedzą o przyrodzie i o przeszłości człowieka, mogło sprawiać wrażenie nawet na umysłach siedemnastego i osiemnastego wieku, ale dziś?...Tu przypomniał sobie, jak często sam stwierdzał zupełną ignorancję w tych rzeczach u ludzi zajmujących wysokie stanowiska w dzisiejszym świecie, nawet u uczonych poważnie pracujących w innych dziedzinach. Tak, mówił sobie, jeszcze jest dużo pola dla szarlatanów.

Jego stryj, o ile Culmer nie skłamał, z początku do tej organizacji należał, ale później musiał z nią zerwać. Przypomniał sobie rozmowy ze stryjem podczas spotkań za granicą i to, co mu ksiądz o tym człowieku opowiadał. W głowie naraz zrobiło mu się jasno. Tak, w tym zerwaniu tkwi istota tajemnicy stryja. Zaczęła się walka, do której ten człowiek nie był należycie uzbrojony i w której został pobity...

Przypomniał sobie przyjazd stryja do Szwajcarii, kiedy ten przeniósł z Fryburga, do francuskiego liceum katolickiego. Musiało to nastąpić wkrótce po zerwaniu. Ta data zbiega się z datą likwidacji interesów i wycofania się z życia towarzyskiego. Wszystko zaczyna być jasne. I ta ciekawość Culmera do papierów stryja staje się wcale jasna...

Zerwał się podniecony, jak wtedy, kiedy raz w ciągu swoich dociekań naukowych zrobił odkrycie, które mu oświetliło i wytłumaczyło cały szereg zjawisk. Zaczął chodzić dużymi krokami po pokoju, myśli szybko biegały mu po głowie, w której układał się cały obraz przeszłości stryja, stanowiący już teraz logiczną całość. Wszystko się z sobą wiązało.

Nazajutrz po południu stawiał się Marek z samochodem. Po drodze do Turowa Twardowski kazał mu skręcić do miasteczka, chcąc się rozmówić z doktorem i usłyszeć ostatecznie potwierdzenie tego, co jego list zawierał.

Zemła, ledwie go zobaczył, zaczął wzburzony wykrzykiwać:

- No i niech pan powie, co za nikczemność, co za łajdactwo! Do czego ludzie są zdolni! Ja przecież znałem jego organizm, jak swój. Nie widziałem zdrowszego człowieka.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że doktor był szczery.

- Jaki mógł być cel tego kłamstwa? - myślał głośno Twardowski.

- Żeby mu zaszkodzić w interesach - odparł bez namysłu doktor.

Po chwili milczenia zawołał:

- Wie pan co? Tego właśnie rodzaju kłamstwo zabija człowieka przede wszystkim w oczach kobiety. Kto wie, czy tu nie wchodziła w grę kobieta...

Twardowskiego ta myśl uderzyła. Przecież od kobiety usłyszał to po raz pierwszy. Pani Czarnkowska mówiła dziwnym tonem o jego stryju... Jeszcze jedna zagadka!

Przez cały wieczór ta zagadka nie schodziła mu z myśli.

Siedział w bibliotece po obiedzie, zestawiał sobie fakty i daty.

Pani Wanda ma najwyżej lat dwadzieścia dwa. Czarnkowski się ożenił ze swoją obecną żoną, kiedy córka jego była małym dzieckiem...

Zaczął liczyć...

Tak, ożenił się w czasie, kiedy stryj Alfred związał swoje interesy i porzucił Warszawę. Dziwny zbieg... Czy to aby zbieg okoliczności? Czy między tymi faktami nie ma związku?...A ona, Czarnkowska?... Chciała go koniecznie poznać. Od początku zaczęła mówić o stryju. Usiłowała mówić spokojnie, ale w jej tonie było coś

tragicznego. Na początku nie zdał sobie sprawy z tego, ale teraz to widzi. Potem unikała z nim rozmowy. Może bała się z czym zdradzić...

Zamyślił się tak, że stracił poczucie miejsca, w którym się znajdował, zapomniał o wszystkim, co go otaczało.

Naraz znów wydało mu się, że ktoś chodzi miarowymi krokami po pokoju – tam i z powrotem, tam i z powrotem...

Twardowskiego ogarnął głęboki, przygniatający smutek. Jak ten nieszczęśliwy człowiek szamotał się w matni intryg, które go otaczały!...

- Zaczynam cię rozumieć - szepnął. - Uspokój się, oni już długo triumfować nie będą...

Przetarł oczy, oprzytomniał. Kroki w pokoju ucichły.

- Jak się dziwić ludziom nie otraskanym z tymi rzeczami - rzekł do siebie – kiedy ja sam tracę trzeźwość i rozmawiam ze zmarłymi...

Zadzwoił na Grzegorza, kazał pogasić światła i poszedł na górę w towarzystwie nieodłącznego Pioruna.

Rano wziął na ramię dubeltówkę i całe przedpołudnie spędził z Wyga w polu i w lesie.

Po południu wybrał się piechotą do proboszcza.

- Opowiem ci to - myślał - czegoś ty mi nie chciał opowiedzieć.

Ksiądz go powitał serdecznie i zaczął wypytywać, jak mu się żyje w Warszawie.

- Dobrze – odrzekł Twardowski - bo się sporo dowiedziałem. Przypomina sobie

ksiądz, że mu obiecałem opowiedzieć to, czego się dowiem. Przeszedłem dotrzymać obietnicy.

Ksiądz widocznie się zaniepokoił.

- Niewątpliwie ksiądz wie o „Związku czynnych grabarzy”?...

- Muszę wiedzieć, bo przecież jest to organizacja walcząca z Kościołem. Nigdy wszakże nie zajmowałem się nią bliżej i moje wiadomości są bardzo ogólnikowe.

- Otóż wykryłem, że mój nieszczęśliwy stryj był członkiem tej organizacji.

- Jak to można taką rzecz wykryć?

- Później księdzu dokładnie to opowiem. Teraz niech mu wystarczy, że wykryłem. Na parę lat przed wielką wojną stryj z nimi zerwał – jeszcze nie wiem, z jakiego powodu. Wtedy wypowiedzieli mu walkę, w której główną bronią były oszczerstwa. On był sam, oni zaś mieli organizację, więc walka była nierówna. Oni go zwyciężyli, zmusili do wycofania się z życia. Potem, obawiając się, żeby nie zrobił użytku z dokumentów, które miał w ręku, starali się wszelkimi sposobami je wydrzeć i prześladowali go w dalszym ciągu. Dlatego musiał się do końca życia strzec ich...

Ksiądz nie grał komedii, nie udawał zaciekawionego sensacyjnymi odkryciami. Widoczne było, że to wszystko nie było dla niego nowością. Tylko nieruchomość jego twarzy świadczyła, iż robi wielki wysiłek, ażeby się nie zdradzić z tym, co mu wiadomo.

Twardowski ciągnął dalej:

- Główną osobistością wśród wrogów stryja był mieszkający w Warszawie adwokat Henryk Culmer.

Ksiądz ciągle milczał zawzięcie. Twardowski kończył:

- Poznałem tego łotra. Ciągle jeszcze szuka sposobu dobrania się do papierów stryja. Wobec tego będę musiał z nim dojść do rozprawy.

Ksiądz się zasępił.

- Odkryłem jeszcze rzecz inną - ciągnął Twardowski. - Była w życiu stryja kobieta, którą kochał i z którą bodaj miał zamiar się żenić. Ta kobieta z nim zerwała. Okłamaną ją, że stryj jest chory, zagrożony paralizem postępowym...

Ksiądz wreszcie przerwał milczenie:

- Nie wiem skąd pan te wiadomości zdobył i o ile są one pewne. To tylko wiem. Że ś.p. stryj pański nie chciał, żeby się pan zajmował jego przeszłością...

- Prawda, ale nie kierował się względami na siebie, tylko na mnie. Wiem, że z początku miał zamiar powierzyć mi całą tajemnicę swego życia. Dopiero przed samą śmiercią zdecydował się zamknąć ją przede mną, ażeby mnie nie obarczać tą ciężką spuścizną. Nie chciał niczym krępować mojej swobody, odciągać mnie od moich spraw; chciał być tylko moim dobrodziejem.

- Tako - odparł ksiądz - on już ma spokój; nic mu już nie możemy dać, prócz Modlitwy, za jego duszę. Pan ma przed sobą swoje życie i obowiązki, które trzeba spełnić.

- Nie mogę całkowicie się z księdzem zgodzić. Mojemu stryjowi stała się wielka krzywda, z którą umarł. W dalszym ciągu krzywda się dzieje jego pamięci. Moim obowiązkiem jest te krzywdę naprawić i nie spocznię póki tego obowiązku nie spełnię.

Na twarzy księdza odmalowało się głębokie wzruszenie. W oczach mu łzy zaświeciły. Nic na ostatnie słowa Twardowskiego nie odpowiedział, tylko gdy się zegnali, rzucił mu się na szyję.

Rozdział XI

Po rozmowie z Twardowskim Culmer wróci do domu mocno zdenerwowany. Był wściekły na Twardowskiego, nienawidził go w tej chwili potężnie. Nie było w tym nic niezwykłego: gniew i nienawiść były to trwale i mocne sprężyny jego duszy. Odczuwał pewien strach: bał się, żeby ten młody, dotychczas lekceważony filozof nie przyczynił mu wielkiego kłopotu. I to nie było niczym nowym w jego życiu: nieraz już bywał w wielkim strachu. Najprzykrzejsze było to, że nie czuł się z siebie zadowolony.

Nie przewidział oporu ze strony Twardowskiego i wbrew przyjętym zasadom postępowania powiedział za wiele. Znadto mu się śpieszyło z dobraniem się do papierów Alfreda Twardowskiego. Niemożliwa rzecz, żeby ten naiwny filozof oszukiwał go, grał przed nim komedię. Jedno tylko jest tłumaczenie: on nie musi być całkiem normalny; to pewnie narwaniec, taki, jak jego stryj. Najgorsza rzecz mieć do czynienia z wariatami...

Gdyby ten młody Twardowski nie był taką białą kartą; gdyby miał w życiu jakąś historię, jakiś skandal, jakąś rzecz, która by go mogła wprowadzić w konflikt z prawem lub zabić w opinii i którą musiałby ukrywać - można byłoby go za to zatrzymać, jak się przeważnie trzyma ludzi. Ale to, zdaje się, niewiniątko. Przy najstaranniejszych dochodzeniach pewnie by się na niego nic nie znalazło. W każdym razie trzeba napisać do Paryża - może tam coś o nim wiedzą... .

A może by się dało coś mu podsunąć, w coś go zaangażować, czymś związać?..

Zdaje się, że jest mocno wrażliwy na kobiety. Na owym obiedzie u Czarnkowskich po prostu pożerał oczami panie. On, Culmer, bacznie go obserwował...

Zamyślił się, widocznie kombinował.

Naraz chwycił słuchawkę stojącego na biurku telefonu i podał numer. Był to numer jego zameżnej córki.

- Czy mieszkanie państwa Brzozowskich?

- Proszę panią do telefonu.

- Czy to ty, Helu?... - Słuchaj, Helu, przyjdź do mnie zaraz. Mam do ciebie pilny interes... - Nie możesz?... Oczekujesz kogoś?... A twój mąż gdzie jest?... - Głupie żarty. Tu nie chodzi o kontrole cnoty. Wiesz, że ja się tym nie zajmuję....

Ale ty mi jesteś bardzo potrzebna... - Nie na dzisiejszą noc, ale sprawa jest bardzo pilna. ... - No, to trudno, przyjdź jutro rano. ... - Dopiero po południu?... Przyjdź zaraz po śniadaniu. Dobranoc.

Niezadowolony odłożył słuchawkę i przesunął telefon na pokój służącego. Zaczął chodzić niespokojnie po swoim gabinecie. Za chwile wszedł Jakub.

- Pan Czarnkowski przy telefonie.

Culmer wziął słuchawkę.

- Dobry wieczór. Czym mogę panu służyć?... - Niestety, jutro jestem cały dzień bardzo zajęty.... - A co pan teraz robi? - Mam godzinkę czasu. Niech pan wpadnie. to pomówimy.

W dziesięć minut Jakub wprowadził do gabinetu pana Czarnkowskiego. Był bardzo zaaferowany.

Culmer usadził go w fotelu. Wyciągnął cygara, obaj zapalili, wreszcie zapytał:

- No, cóż tam, drogi panie, takiego pilnego?

- Czy nie znalazł pan kupca na Zbychów?

- Niestety, nie. Dziś tak każdemu trudno o pieniądze.

- Do mnie zgłosił się pośrednik, ale oferta jest niemożliwa .Dają niewiele więcej jak połowę istotnej wartości majątku.

- Kto to taki?

- Pośrednik nie chce powiedzieć, dopóki się nie zgodzę na tej podstawie pertraktować.

Culmer roześmiał się w duchu - wiedział, od kogo pośrednik przychodził.

- Po co pan się spieszy z tą sprzedażą? Dziś nie ma mowy o dostaniu dobrej ceny.

- Panie mecenasie, jeżeli w ciągu dwóch tygodni nie zdobędę gotówki, to mi się wymknie tamten interes i strącę jeszcze zadatek.

- Niech pan się jeszcze zastanowi. Kopalnie złota bywają wielkim interesem, ale czasem zawodzą. Nie chciałbym, żeby pan poniósł straty. Nic nie wiem o solidności tej kompanii, więc nie mam prawa nic złego, ani dobrego o niej mówić. Ale trzeba zawsze być ostrożnym.

- Pan jest bardzo zacnym człowiekiem i rozumiem pana. Ale niech pan nie zapomina, że ten interes mi zalecił Joseph Turner, który sam się w to zaangażował.

- Sir Joseph jest wielkim gentelmanem i wielkim znawcą interesów. Ale i on się może raz omylić.

- Jestem pewien, że nie tym razem - rzekł, śmiejąc się, Czarnkowski. -No, nie mówmy więcej o tym. Jestem całkowicie zdecydowany i nic pan na to nie poradzi.

- Ha, trudno. *Volenti non fit iniuria*¹. To ja panu nie pozwolę majątku zmarnować. Sprzedanie za połowę wartości jest samobójstwem.

- Prawda. Ale cóż ja zrobię? Gotówkę mieć muszę. Gdyby chcieli postąpić chociaż o dwa miliony...

Culmer się zamyślił. Milczenie trwało kilka minut.

¹ Volenti non fit iniuria – chcącemu nie dzieje się krzywda.

- Wie pan - przerwał je mecenas - gdybym był człowiekiem bogatym, sam bym kupił Zbychów i zapłacił pełną cenę. To piękny majątek i każdy, kto go kupi, zrobi dobry interes.

Czarnkowski otworzył szeroko oczy. W oczach tych zabłysła nadzieja.

- Pan by kupił?

- Chętnie. Tylko nie mam na to i muszę sobie odmówić. I panu bym wyświadczył usługę, i sam może załatwiłbym jedna sprawę, która mnie w ostatnich czasach gryzie.

Czarnkowski czekał i pytał spojrzeniem.

- Widzi pan - ciągnął Culmer - w moim synu odezwała się krew angielska. Od paru lat zagląda do Polski tylko na krótko: siedzi w Anglii, tam mu się powodzi i boję się, że zostanie Anglikiem. Gdybym mu kupił taki majątek, przywiązałbym go do Polski.

- Niech pan kupi! - zawołał Czarnkowski. - Będę wiedział przynamniej, że Zbychów przeszedł w dobre ręce i że służy dobremu celowi.

- Nie, to niepodobna. Gdybym nawet kupił bardzo korzystnie, wątpię, czybym się przy nim mógł utrzymać. Niestety, czasy dla rolnictwa są złe i zapowiadają się jeszcze gorsze.

- Panie mecenasie, ja panu sprzedam tanio. Wole przecież, żeby pan kupił, niż ktokolwiek inny.

Culmer myślał znów kilka minut. Wreszcie rzekł z decyzją:

- Ja panu powiem. Będziemy starali się sprzedać dobrze. Jeżeli się nie uda, to ja się obliczę i postąpię ponad ofiarowaną cenę tyle, ile będę mógł. Nie mogę przecież pozwolić, żeby pana obdarto.

Czarnkowski wzruszony dłoń mecenasa mocno uściskał.

- Mam nadzieję - rzekł - że niedługo będziemy szukali i że interes między sobą załatwimy.

Wyszedł uszczęśliwiony.

Tym razem mecenas Henryk Culmer był z siebie zadowolony. Jeden z jego genialnych planów zbliżał się do ostatecznej realizacji. Myślał o swoim synu. Karol będzie miał sytuację, która mu pozwoli odegrać pierwszorzędną rolę. Tylko czy on tego nie zmarnuje? To chłopak bardzo zdolny; ale on sobie zanadto kpi ze wszystkiego, zbyt się manifestuje ze swym cynizmem. Culmer sam podsłuchał raz przypadkiem, jak Karol w rozmowie z siostrą ojca nazwał "uroczystą małpą".

Myśl jego wróciła do rozmowy z Twardowskim i pan mecenas się zasępił. Zanadto się pośpieszył. Trzeba było działać wolniej. Przecież już miał doświadczenie z jego stryjem. Ci Twardowscy to jakiś osobny gatunek ludzi...

Tę noc mecenas Culmer spędził niespokojnie.

Następnego dnia siedział po śniadaniu przy czarnej kawie i cygarze, gdy wpadła Hela.

Pani Brzozowska była wybitną pięknnością orientalną. Miała ładną, trochę zbyt pełną figurę, śliczną śniadawą cerę i duże w syryjskiej oprawie, czarne, płonące oczy. Z tym typem urody harmonizowały jej ociężałe, leniwe ruchy. Wyglądała na lat mniej więcej trzydzieści, ale każdy, kto znalazł się na jej typie urody, mógł wiedzieć, że nie ma nawet dwudziestu pięciu.

Siadła w fotelu naprzeciw ojca, wzięła papierosa z pudełka, zapaliła, naląła sobie kawy w przygotowaną dla niej filiżankę i zapytała:

- Co się pali?

- Helu - rzekł Culmer - jesteś mi bardzo potrzebna.

- Kogo mam uwieść?
- Nie żartuj. To poważna sprawa.
- Słucham.
- Znasz Twardowskiego, który niedawno przyjechał z Paryża?
- Widziałam go raz u Czarnkowskich.
- Co o nim myślisz?
- To ciekawy facet. Oryginał. Wygląda trochę na wariata; ale mnie się zdaje, że on jest mądrzejszy, niż wy myślicie. Co on ci zrobił?
- Tymczasem nic. Ja go muszę wziąć. Już go miałem w rekach i wymknął się. Jeżeli go nie dostane, może być duży kłopot.
- Rozumiem. Więc chcesz, żebym ja go do ciebie przyprowadziła?
- Tak.
- Kosztem mojej cnoty?
- Ty ciągle sobie żartujesz.
- No, to mówmy poważnie. Tym razem rzecz będzie nie taka prosta. W tym Twardowskim jest coś, czego ja nie znam. Do niego nie można się brać tak, jak do każdego innego. No, ale ja sobie poradzę. W gruncie rzeczy oni wszyscy jednakowi. A co ja za to dostane?
- Już się targujesz?
- Muszę. Ty tylko dbasz o swojego karalucha; a o mnie nie myślisz?
- Jaki karaluch?
- Karol. Ty nie wiesz, że on się nazywa - namiętny karaluch? Słuchaj, jest tu jedna Rosjanka, co ma do sprzedania butony brylantowe: ta sama, cośmy od niej w zaprzyszłym roku kupili perły. Te butony bardzo mi się podobają. I to dobry interes. Ty mi je kupisz.
Culmer pomyślał chwilę.
- Dobrze, jeżeli Twardowskiego do mnie przyprowadzisz.
- Do ciebie, to znaczy do twojej klatki z tresowanymi małpami.
- Helu, mówiłem ci, żebyś się tak nie wyrażała.
- Przecież nikt nie słyszy. Więc będę miała butony?
- Tak, jeżeli...
Powstała, zabierając się.
- Oj, Henryczku, Henryczku, jak ty mnie eksploatujesz!
- Czy to taka wielka ofiara z twojej strony?
- Tym razem może nie. On mnie zaciekawia. Ale czasami to była prawdziwa ofiara.
Culmer wstał z miejsca, żegnając się z córką.
- Tylko się pośpiesz - rzekł - bo to pilna sprawa. Co porabia twój mąż?
- Nie przypominaj mi tego bałwana.
- Czy taki nie lepszy od innych?
- Nie masz pojęcia, jaki on monotony, jaki nudny. On wszystko robi nudnie.
- Wszystko?
- I to, i tamto.
Podała mu twarz do pocałowania i wyszła.
- Dobra dziewczyna - pomyślał Culmer - duża z niej jest pomoc. Karol w porównaniu z nią to nieużyteczny łobuz.
A jednak do Karola miał większą słabość.
Pospiech, zalecony córce przez Culmera, okazał się niemożliwy. W czwartek wieczorem pani Brzozowska zatelefonowała do ojca, że na popołudniowym przyjęciu u Czarnkowskich Twardowskiego nie było. Wyjechał na wieś.

Culmera trawił coraz większy niepokój. Jak ten filozof będzie miał za wiele czasu do namysłu, wszystko może być zepsute.

Dowiadwał się przez telefon u Michała, kiedy pan wróci, ale Michał nic nie wiedział.

Przyszła mu myśl pojechania do Turowa. Myśl tę wszakże rychło odrzucił. On nie ma już szans wpłynięcia na tego wariata, tylko Hela coś może zrobić. Zresztą, może tam jeszcze jest to straszne, dzikie bydle, które go jak tłumok wrzucało do samochodu... Zastanawiał się, czy nie ma sposobu na przyspieszenie powrotu Twardowskiego do Warszawy.

Siedział przy biurku, mając przed sobą bilans jednego z towarzystw akcyjnych, którego był radcą prawnym; ale zamiast go przeglądać, myślał o Twardowskim.

Wszedł Jakub i zaanonsował profesora Topolińskiego.

- Dobrze, że profesor przychodzisz - rzekł Culmer do Topolińskiego, który ziajął miejsce przed biurkiem - chcę ci dać pewną instrukcję. Chodzi o tego młodego Twardowskiego.

- Słucham.

- Poleciłem ostrożnie robienie mu reputacji, żeby przygotować grunt do wysunięcia go trochę na front. Polecenie to jest wykonywane, nieprawda?

- Naturalnie.

- Otóż teraz trzeba to wstrzymać.

- Cieszę się, bo on mi się nie podobał.

- Wszystko jedno, czy on się profesorowi podoba, czy nie podoba, trzeba wstrzymać.

Topoliński musiał zauważyć, że Culmer jest dobrze zdenerwowany. Ten ciągnął dalej:

- Do czasu, ma się rozumieć. Wkrótce się zdecyduje, czy robimy dalej w tym samym kierunku, czy też pójdziemy w przeciwnym.

- Rozumiem.

- Tyle miałem do powiedzenia.

- Ja tu przyszedłem w jednej sprawie.

- Słucham.

- Niedawno wydałem książkę.

- Wiem.

- Jest to praca kilku lat, do której przywiązuję wielką wagę. Tymczasem nasza prasa traktuje ją zbyt obojętnie. Ja zaś chciałbym, żeby zdobyła w Polsce rozgłos i wyszła w tłumaczeniu za granicą.

- Nie czytałem tej książki, bo nie mam na to czasu. Ale miałem o niej sprawozdanie. To rzecz słaba. Trudno bronić jej przed napaściami przeciwników. Niejasne myśli autora wyłożone są niejasnym językiem. Przy tym autor, niezupełnie widać umocniony w naszej ideologii, zagalopował się i zanadto od niej odbiegł. Możemy dawać pewną swobodę, ale tu profesor zbyt z niej skorzystał. Ja bym radził przestać pisać, skoro się nie umie panować nad swym piórem.

Tu Topoliński zauważył, że zdenerwowanie mecenasa jest większe, niż myślał.

- A jednak – wyjąknął - moje rzeczy były tłumaczone na inne języki.

- To było dawno. I to były rzeczy małe, gdy ta książka jest gruba. Zresztą o nich także powiedziano, że są słabe i mętne.

Topoliński zauważył, że dalsza rozmowa byłaby nieużyteczną. Zabrał się i wyszedł.

- Durnie - mówił do siebie Culmer po jego wyjściu - chcą, żeby ich ciągle kupować, tak jak to się robi z początku. A służyć porządnie nie umieją. Jakże mało jest ludzi naprawdę zdolnych!

Mecenas wszedł w fazę pesymizmu.

Miał wszakże i powody do zadowolenia.

Interes z Czarnkowskim poszedł prędej, niż można było się spodziewać. Dobry kupiec na Zbychów nie znalazł się i szlachcic kilkakrotnie napraszał się, żeby Culmer majątek kupił. Wreszcie mecenas dał się ubłagać i umowa została spisana.

- Może panu niewygodnie - zapytał Culmer - żeby teraz o sprzedaży ogłaszać? Możemy z tym poczekać.

- Ach, jaki pan delikatny i wszystko przewidujący - odrzekł Czarnkowski. - Tymczasem tak będzie lepiej. Myślałem nawet, czy pana o to nie prosić.

Czarnkowski dostał trochę gotówką, resztę za przekazem na Paryż i natychmiast wyjechał za granicę.

Culmer zawiadomili listownie swego syna, że transakcja doszła do skutku. Karol odpisał, że wkrótce przyjedzie obejrzeć swą posiadłość tylko musi jeszcze przypilnować "tego łobuza Stuarta", żeby go nie oszukał.

Wreszcie) doniesiono mu, że Twardowski wrócili do Warszawy.

Rozdział XII

Jak na polski klimat koniec zimy nie był najgorszy. Przewanie panowały lekkie przymrozki i dość często pokazywało się słońce. Bywało wietrzno ale chlapaniny było niewiele.

Z tej pogody korzystał Twardowski, włócząc się z dubeltówką po polu i lesie. Strzelał niewiele, a wiele myślał.

Myślał przede wszystkim o Culmerze. Nie miał żadnej wątpliwości co do ostatecznej odpowiedzi jaką mu da po powrocie do Warszawy: ta mogła być tylko jedna. Tak ale co dalej?... Jak wykryć tajemnice stosunków ze stryjem? Po otrzymaniu odpowiedzi ten łotr z nim zerwie i wtedy już nic się z niego nie wyciągnie. Trudno trzeba będzie szukać innych dróg.

Żałował, że zadał zwłoki, która przecież na nic przydać się nie mogła. Opanowany myślą wydobycia z Culmera prawdy potraktował go nie tak jak był powinien.

Twardowski był skrajnym indywidualista. Korzystając z niezależności materialnej, mając swobodę robienia, co mu się podobało, nie zmuszony nigdy służyć, wybujał moralnie aż do granic, w których to staje się niebezpieczne: wyrosła w nim wielka duma, która tylko dzięki niepospolitej jego inteligencji nie wyrodziła się ani w pychę, ani w próżność.

Tę dumę Culmer uraził i musi być za to ukarany.

Twardowski miał świadomość, że coraz bardziej zatracą zimny obiektywizm, że zaczynają nim rządzić nieznane mu przedtem namiętności. Czuł niezaspokojone pragnienie walki, nie tylko z łotrami, którzy krzywdzili stryja, nie tylko z zuchwałym Żydem, który mu w jego przekonaniu ubliżył, ale z kimkolwiek i z czymkolwiek...choćby z żywiołem. Ludzie turowscy dziwili się widząc go pewnego dnia brnącego w długich butach i nieprzemakalnym płaszczu pod silny wiatr z deszczem: nie rozumieli, jak kto może bez potrzeby włóczyć się w taką pogodę po świecie.

Nie wiedzieli, że ta właśnie pogoda była w owej chwili najlepszą kąpielą dla motanej niepokojem jego duszy. .

Nie tylko Culmer był sprawcą tego niepokoju. Myśl Twardowskiego nawracała często do panny Czarnkowskiej. Po raz pierwszy jakaś kobieta zajęła tyle miejsca w jego wewnętrznym życiu. Nie unikał nigdy towarzystwa kobiet, mniej lub więcej podobały mu się, nawet pociągały go, ale nigdy tak dalece, żeby sobie powiedział: koniecznie ta, a nie inna. Filozoficznie stwierdzał, że w gruncie rzeczy niewielka jest między nimi różnica. Wobec Wandy zaczynał zatracać tę filozofię, coraz mniej był zdolny myśleć o niej obiektywnie. Jakieś nie wytłumaczone powinowactwo ciągnęło go do niej i wytwarzało poczucie, że dziewczyna jest ciągle od niego za daleko. Próbował to sobie tłumaczyć zaletami, których coraz więcej w niej odkrywał, ale temu tłumaczeniu sam nie bardzo ufał. Zadawał sobie pytanie, czy bardzo by go do niej zraziło, gdyby odkrył w niej jakąś wielką wadze i odpowiadał sobie, że nie. Może dlatego, że uważał to za nieprawdopodobne... Doszedł do przekonania, że o tej dziewczynie nie umie myśleć logicznie i przestał tego próbować.

Za nielogiczny też uważał swój stosunek do Kozienieckiego. Choć wiedział, że panna Czarnkowska eleganckiego profesora lekceważy, irytowała go jego ciągła obecność u boku dziewczyny.

- Chodzi za nią jak pudel – mrucał z gniewem.

Wyjechał do Warszawy w czwartek i nie ukrywał tego przed sobą, że wybrał ten dzień po to, by pójść do Czarnkowskich. Jednakże robił to nie tylko dlatego, że chciał zobaczyć pannę Wandę. Miał nadzieje dowiedzieć się czegoś od pani Czarnkowskiej o stosunkach między stryjem a Culmerem: zerowanie z ostatnim było nieuniknione, więc trzeba będzie gdzie indziej szukać klucza do dręczącej go zagadki. Obmyślał sobie rozmowę na ten temat z przybraną matką Wandy...

Pana Czarnkowskiego na czwartkowym przyjęciu nie było. Po przywitaniu Twardowski przysiadł się do pani domu. Zapytała go, jak spędził te parę tygodni u siebie na wsi.

- Mam wrażenie, że jestem nie u siebie, że stryj ciągle w tym domu mieszka i panuje. Myśl moja co chwila ku niemu nawraca, usiłuje bezskutecznie rozwiązać zagadkę jego życia. Na przykład, ta wiadomość, którą słyszałem od pani, o jego chorobie...

- To było wielkie nieszczęście - rzekła matowym głosem.

- Proszę pani, to nie była prawda. Panią w błąd wprowadzono.

Z panicznym strachem w oczach, jakby ktoś w nią śmiertelną broń wymierzył, odrzuciła się od niego.

- To nie może być - wyszeptała.

- Oto jest list jego stałego lekarza.

Podał jej list Zemły. Wzięła go drżąca ręką i zaczęła czytać. Twarz jej pokryła trupia bladeść. Twardowski zaczął żałować, że doskonał tej operacji w salonie, na czwartkowym przyjęciu. Należało to zrobić w cztery oczy.

Pani Czarnkowska opanowała się. List powoli, pedantycznie złożyła, zwróciła Twardowskiemu i przez chwile milczała, patrząc w przestrzeń suchymi, twardymi oczami, jakich u niej nigdy nie widział. Wreszcie z jakąś dziwną energią rzuciła pytanie:

- Jakież był cel zmyślenia podobnej rzeczy?

- Zgubić go w oczach pani.

- Komu na tym mogło zależeć i dlaczego?

- Właśnie staram się to wyjaśnić.

Postanowił zaryzykować.

- Pozwoli pani zgadnąć, kto panią okłamał?
- Ten, kto to powiedział, mógł być sam w błąd wprowadzony. Zresztą potwierdzili to inni.

- Nie, on kłamał z całą świadomością, a ci inni byli przez niego nasłani. Był to Culmer.

Nie zaprzeczyła. Twardowski wolniej odetchnął: widział, że zgadł. Teraz nie wątpił, że zdobył sojuszniczkę.

Pani Czarnkowska tylko zapytała:

- Po co to robił?

- Był zajadłym wrogiem stryja Alfreda i postanowi go zniszczyć. Udało mu się o tyle, że zламаł mu życie.

- Przecież to byli przyjaciele...

- Tak twierdzi po dziś dzień Culmer. I mnie się oświadcza z przyjaźnią. Wkrótce dowie się pani, co to warte.

Chwilowa energia naraz biedną kobietę opuściła. Bezwładnie zatonęła w fotelu.

- Panie - szepnęła - tyle mi pan powiedział, że mi się w głowie miesza. Muszę zebrać myśli. Wrócimy do tej rozmowy innym razem.

Wyciągnęła do niego bezwładną rękę, którą Twardowski pocałował.

Zbliżył się do panny Wandy. Wstała z krzeselka i zrobiła parę kroków ku niemu.

- Co pan za straszna rozmowę z mamusią prowadził? - zapytała po cichu - Obserwowałam was przez cały czas. Dał jej pan do przeczytania jakiś list, który musiał być okropny.

- Przeciwnie, list sprostował okropne kłamstwo. Ale, droga pani,. Proszę mi dać słowo, iż pani mamie nie powie, że obserwowała nasza rozmowę. Zrobiłaby jej pani wielką przykrość.

Spojrzał ku pani Czarnkowskiej, ale jej nie spostrzegł. Opuściła salon.

- Kiedy pan tak mówi, to daję słowo – rzekła Wanda - A sama dowiem się, co to było?

- Nie.

- Dziwny człowiek! Powiada krótko: nie i od razu przekonuje, że nie powinnam wiedzieć.

- Dziękuję pani za zaufanie.

Zbliżył się do nich trzydziestokilkuletni, przystojny blondyn. Wysoki, pięknie zbudowany, z rozlanym na twarzy wyrazem nieświadomej siebie głupoty. Przywitał się dość

poufale z panną Czarnkowską i poprosił ją o przedstawienie go Twardowskiemu. Dziewczyna dokonała ceremonii i oddaliła się do swego towarzystwa.

Nowy znajomy, pan Brzozowski, zaczął od wychwalania domu, w którym się znajdowali i towarzystwa, które się w nim zbierało. Mówił, że nigdzie nie spotyka tylu osób inteligentnych i sam siebie widocznie do nich zaliczał.

- Ludzie inteligentni - mówi - powinni się więcej spotykać i wymieniać myśli. Wtedy wytwarza się atmosfera, w której można żyć.

Twardowskiego uważał za cenny nabytek dla tej atmosfery - słyszał o nim wiele.. Wreszcie zaczął mówić o sobie. Jest adwokatem, ale go to nudzi: wołałby poświęcać cały swój czas pracy naukowej, która obecnie tylko dorywczo może się zajmować. Pracuje nad historią cytadeli warszawskiej jako więzienia politycznego.

Twardowskiego porządnie nudził ten szczególnie uczonej i jego „naukowa” praca. Brzozowski wszakże trzymał go za guzik.

- Muszę wyrazić wielkie uznanie byłym więźniom, dziś żyjącym. Prawie wszyscy chętnie nadsyłają mi obszerne wiadomości o sobie.

Twardowski się nie dziwił. Najłatwiej o takich, co chętnie wzbogacają historię swymi biografiami.

Naraz Brzozowski przerwał:

- Moja żona daje mi znaki, żebym pana do niej przyprowadził. Pan pozwoli jej siebie przedstawić, nieprawdaż?

Nie czekając na odpowiedź, zaczął prowadzić pod rękę Twardowskiego, który był rad z przerywania rozmowy z nudnym głupcem.

W rogu kanapki siedziała piękna, żydowskiego typu brunetka: mierzyła Twardowskiego od stóp do głów przymrużonymi oczami. Podała mu leniwie rękę i z zachęcającym uśmiechem wskazała miejsce kolo siebie. Męża oddaliła spojrzeniem.

- Chciałam pana poznać, bo przepadam za inteligentnymi mężczyznami.

Twardowski głośno się roześmiał.

- Śmieje się pan, bo przed chwilą rozmawiał pan z moim mężem. Niech się pan nie boi, ja go nie przeceniam. To jeden z najgłupszych i najnudniejszych ludzi w świecie.

Patrzył zdziwiony na kobietę, która zaczyna od takich zwierzeń.

- Dlatego właśnie - dodała - szukam prawdziwej inteligencji.

Patrzyła na niego wyzywająco ciągle zmrużonymi czarnymi oczami.

- Pan nie wierzy w inteligencje kobiet!

- Przeciwnie. Tylko to inteligencja różna od naszej. I dlatego tak nas zaciekawia.

- Naprawdę?... I pana ona interesuje?

- Bardzo.

- Ale choć mężczyźni są inteligentniejsi od nas, my ich chyba lepiej rozumiemy, niż oni nas.

- Bo panie więcej się nami zajmują, niż my paniami.

- Widziałam pana raz tylko - pan mnie nie zauważył - ale już zdążyłam spostrzec, że pan jest bardzo pewny siebie i bardzo zuchwały.

Twardowski widział, że pani chce koniecznie zrobić konkiętę, ale nie mógł przy tym opędzić od myśli, że ma do niego jakiś interes. Chciał się dowiedzieć, co to może być, więc podtrzymywał rozmowę, wpadając w styl pani. Wreszcie po upływie pół godziny pani zrobiła ruch, zapowiadający powstanie z kanapy.

- Już czas na mnie - rzekła. - Czyż pan nie byłby taki miły i nie przyszedł któregoś dnia zjeść z nami obiad?

Twardowski, ciągle zaciekawiony, zapewnił ją, że będzie to dla niego szczególna przyjemność.

- A może jutro ma pan wieczór wolny? Widzę, że tak. Przyjdzie pan, o ósmej.

- Owszem.

Powiedziała mu adres i odeszła.

Goście zaczęli się rozchodzić. Twardowski podszedł do panny Wandy.

- Nie widziałam pana nigdy tak ożywionym - rzekła z lekkim cieniem ironii.

- Jak kiedy?

- Jak podczas flirtu z panią Brzozowska. Ona jest inteligentna, prawda?

- Nie wiem. Tym razem mówiła o rzeczach, które rozumie.

-A ja mądrze się o tym, na czym się nie znam, tak?... Ach, jaki pan zły!

Twardowski wziął ton serdeczny:

- Nie, panno Wando, pani mnie przecież nie posądza o złośliwość względem siebie. Jak pani może siebie porównywać z taką panią Brzozowska! Gdyby ktoś inny to robił, obraziłbym się za panią.

Dziewczyna spojrzała na niego wdzięcznie, zaczerwieniona z radości.

- A swoją drogą za dużo pan z nią flirtował. - rzekła z udaną powagą.

- To jeszcze nie skończone, jutro będę u niej na obiedzie.

Popatrzyła na niego badawczo i posmutniała.

Ujrzał wchodzącą do salonu panią domu i poszedł się z nią pożegnać. Pani Czarnkowska była już spokojna i pozornie swobodna, ale Twardowskiemu się wydało, że ma zaczerwienione oczy, przy pożegnaniu spojrzała na niego jakoś po macierzyńsku.

Profesor Kozieniecki tym razem Twardowskiemu przy wyjściu nie towarzyszył. Nie zwracał na niego uwagi, siedział przy pannie Wandzie i coś szeroko jej opowiadał. Ta wizyta w domu Czarnkowskich dostarczyła Twardowskiemu dużo materiału do myślenia.

Przede wszystkim jedna z zagadek, dotyczących stryja, została rozstrzygnięta. Pani Czarnkowska niewątpliwie przed wyjściem za obecnego swego męża była narzeczoną stryja Alfreda i niewątpliwie go kochała. Małżeństwo ich rozbił Culmer przy pomocy zręcznie sfabrykowanego oszczerstwa. Widocznie prześladował i niszczył nieprzyjaciela na wszystkich polach, nie przebierając w sposobach. Kto wie, czy pani Czarnkowska nie rzuci więcej światła na wzajemny stosunek tych dwóch ludzi...

Szkoda, że tę rozmowę prowadzili w salonie i że panna Wanda ich obserwowała. Nie powinna nic o tym wiedzieć. Uważał ją wszakże za przyjaciółkę i wierzył w jej lojalność. Co więcej, zaczynał wierzyć, że budzi się w dziewczynie dla niego więcej, niż przyjaźń. Była widocznie trochę o niego zazdrosna. Niby żartowała, ale nie mogła ukryć podrażnienia...

Twardowski nie uważał siebie za zdobywcę serc kobiecych, nigdy to w jego ambicjach nie leżało, ale tym razem postanowił dziewczynę podbić. Zdaje się, że ona czuje w stosunku do niego takie powinowactwo, jak on do niej. Postawi hipotezę, jak wiele innych w swoim życiu, tak samo z zapalem, jak tamte, tylko był to jakiś inny zapal, jakąś radość: nie lokowała się wyłącznie w mózgu, ale wstrząsała całą jego istotą. Ogarnął go niepokój, ale w tym niepokoju po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę szczęśliwy.

A ta pani Brzozowska... Czego ona może chcieć?... To nie jest zwykła chęć poflirtowania, czy też poszukiwanie awantury. Ona ma wobec niego jeszcze Jaksie zamiary. Trzeba było dowiedzieć się czegoś o niej. Nie przyszło mu to do głowy, bo zanadto był kajety panią Czarnkowską i Wandą.

Następnego dnia, wczesnie rano, służący od państwa Czarnkowskich przyniósł mu list, adresowany kobiecą ręką. Czyżby Wanda do niego napisała? Nie, to tylko pani Czarnkowska.

Prosiła go na wszystko, żeby wpadł do niej o którejkolwiek godzinie, rano czy po południu. Jest cały dzień w domu.

Poszedł koło dziesiątej.

Służący zaprowadził go do buduaru pani, która - jak oświadczył - była trochę niedomagająca.

Twardowski na wstępie spostrzegł straszną zmianę. Twarz wymęczona więcej niż zwykle, oczy podkrążone, wydawała się jakąś mniejszą, zredukowaną; miejsce pańskiej dumy i pewności siebie, której miała wiele w swej postawie, zajęła jakąś

dziwna pokora i prawie nieśmiałość. Patrzyła na Twardowskiego oczami, w których nawet strach można było wyczytać.

Zaczęła mówić słaby głosem, ale równo i spokojnie, jak osoba, która dobrze wie, co i jak chce powiedzieć:

- Niech mi pan wybaczy, że panu czas zabieram, ale widzieć pana dziś musiałam. Spędziłam noc bezsennej, myślałam wiele, także i o panu, i wiele rozumiałam. Pańskie zjawienie się w moim życiu, pod jego koniec, nie jest zwykłym przypadkiem. Pana przysłał Alfred...

Widocznie spostrzegła na twarzy Twardowskiego obawę o jej równowagę duchową, bo zaprotestowała: .

- Niech się pan nie boi - nie oszalałam. Mogło to się Zarzyc, gdybym była młodsza. Nie jestem również przesadna - jestem tylko religijna. Moja religijność zabrania mi wierzyć, że umarli myślą o nas i czasami zza świątów nami rządzą.

Twardowski milczał. Myślał, że sam tak postępuje, jakby był pod rozkazami zmarłego stryja. Tylko on, zbrojny w aparat swojej wiedzy, inaczej to sobie tłumaczył.

- Gdy dowiedziałam się od profesora Kozienieckiego o pobycie pańskim w Warszawie i o śmierci Alfreda, usłyszałam w duszy jakby rozkaz, żeby pana natychmiast poznać. Gdy rozmawiałam z panem, chwilami miałam wrażenie, że to Alfred siedzi przede mną. Jakaś nieprzeparta siła ciągnęła mnie do pana, a jednocześnie jakiś lęk mnie zdejmował. Miałam przeczucie, że kończy się moje spokojne dogasanie, że pan pod koniec mego życia wnosi w nie katastrofę. Przeczucie mnie nie omyliło: od wczorajszej rozmowy z panem spokój, choćby taki, jakiego zażywałam, już dla mnie nie istnieje. Alfred chciał, żebym po jego śmierci dowiedziała się prawdy. To nie zemsta, on na to zbyt szlachetny: on czegoś ode mnie wymaga...

Zamilkła na chwilę, jakby sił jej zabrakło. Poczym zaczęła mówić z wysiłkiem:

- Byłam narzeczoną Alfreda.

- Wiem.

- On panu to powiedział?

- Nie. Wszystkie swoje sprawy zachował przede mną w tajemnicy i ze swą tajemnicą umarł. Chciał być tylko moim dobrodziejem: dać mi wykształcenie, zostawić mi majątek, a nie obarczać mnie swymi troskami. Niech jeden Twardowski, mówił, nie zmarnuje życia.

Po twarzy pani Czarnkowskiej płynęły łzy.

- A wiec skąd pan tyle wie?

- Bo postanowiłem prawdy dociec i ukarać tych, co mu zniszczyli życie.

- A wiec i mnie! - zawołała.- Ja go odstąpiłam, uciekłam od niego w chwili, kiedy najwięcej mnie potrzebował. Zdradziłam go, a on mi tak wierzył! Złamałam sobie życie, bo go kochałam i tylko jego kocach mogłam. Przez dwadzieścia długich, dla mnie strasznie długich lat myślałam, że jestem ofiarą nieszczęścia - dziś wiem, że popełniłam zbrodnię.

- Nie, pani jest tylko ofiara cudzej zbrodni. Pozwoli pani, że o jedna rzecz zapytam. Według słów pani stryj Alfred wówczas najwięcej pani potrzebował. Dlaczego?

- Bo wtedy ludzie zaczęli się odwracać od niego: krążyły o nim rozmaite potworne wieści i niestety, zaczęto dawać im wiarę. Tylko ja niczemu nie wierzyłam, bo Alfred nie mógł zrobić nic nieszlachetnego. W chorobę jego po długim oporze uwierzyłam, bo dwaj wybitni lekarze mi to potwierdzili. Boże! Gotowa byłam wtedy życie sobie odebrać... Popełniłam gorsze samobójstwo...

- A więc niszczyli go oszczerstwami. Broń tchórzcy. Czuję w tym rękę mistrza Culmera.

- Któż jest ten człowiek? Zawsze coś mnie od niego odpychało. Ale wszyscy o nim mówią tak dobrze.

- W tym tkwi największe łotrostwo. Na pytanie pani jeszcze dziś nie odpowiem. Muszę swoje śledztwo doprowadzić do końca. Ośmielam się mieć nadzieję, że znajdę pomoc u pani.

- Zrobię wszystko, całą resztkę swych sił oddam, bo to będzie dla Alfreda.

- Gdyby on to mógł słyszeć.

- On słyszy na pewno.

Wyrzuciła te słowa z przekonaniem iluminatki. .

Błagała go, żeby jej opowiedział wszystko, co wie o życiu stryja od owej strasznej chwili, o jego meślach, wreszcie o śmierci. Opowiadał jej długo o owym dziwnym, przygnębiającym pogrzebie, o domu, czujnie strzeżonym, o tym, co wiedział od księdza, od doktora, wreszcie od Grzegorza. Zamilczał tylko o wysokości swego spadku, o rozmowie z Culmerem, wreszcie nic nie powiedział o owych niesamowitych krokach w bibliotece. Bał się wrażenia, jakie to może sprawić na nieszczęśliwej kobiecie przy jej sposobie myślenia i przy obecnym stanie jej nerwów.

- Pan mi pozwoli kiedyś przyjechać do Turowa, być w tym domu i na tym cmentarzu?...

Pytanie to rzuciła nieśmiało, jakby niepewna przychyłnej odpowiedzi.

Zapewnił ją, iż pragnie, by to się stało jak najrychlej.

Choć myśl jego absorbowwała w tej chwili biedna pani Czarnkowska, nie zapomniał sobie zadać pytania, jakby to zrobić, żeby przyjechała w towarzystwie Wandy.

Rozdział XIII

Jako psycholog i nałogowy obserwator, nie tylko szukał prawdy, ale i bawił się. Była to zabawa trochę niemoralna. Interesowały go ciekawe momenty psychiczne, niezależnie od moralnej wartości ludzi i ich zachowania się, bez względu na skutki ich czynów. Można powiedzieć, że uprawiał rodzaj rozpusty umysłowej.

Miedzy innymi przepadał za skrajnymi kontrastami.

Toteż, gdy po rannej rozmowie z panią Czarnkowską, rozmowie pełnej tragizmu, szedł na obiad do państwa Brzozowskich, na którym sobie obiecywał lekką komedię, gniewał się wprawdzie na siebie, ale zarazem odczuwał przyjemność smakosza, poszukującego wrażeń.

Panią Brzozowska zastał samą.

- Nie byłam tak okrutna - rzekła na wstępie z całą swobodą - żeby skazywać pana na konwersacje z moim mężem, który, jak pan na pewno zauważył, nie jest ekscytujący. Wyprawiłam go do równie nudnych jak on jego przyjaciół. Oni się tam znakomicie ze sobą bawią, wmawiając nawzajem w siebie, że są elitą inteligencji. To ich tak zajmuje, że nie rozejdą się przed drugą. Mam nadzieję, że pan nie jest przerażony...

To wszystko mówiła, mierząc go przymrużonymi oczyma, jakby chciała mu dać poznać, że przyszedł na egzamin, który niełatwo będzie zdać dobrze. Widocznie chciała od pierwszej chwili podrażnić jego miłość własną.

Ubrała się dla niego bardzo wieczorowo, odsłaniając szczerze swój niebrzydki, choć trochę zbyt pełny dekolt.

Tete-a-tete przy stole było z początku dalszym ciągiem rozmowy w salonie państwa Czarnkowskich. Pani mówiła o znaczeniu inteligencji w stosunku między mężczyzną a kobietą. Tylko gdy obie strony dość są inteligentne, możliwa jest prawdziwa rozkosz: uświadamiają sobie wzajemnie wrażenia, dzielą je między sobą, a przez to rozkosz się pogłębia. To taka wielka różnica, jak między obiadem smakosza a żarłoka...

Twardowskiego bawiła ta szczególna dojrzałość sądu młodej jego towarzyszką, wpadał też w jej ton, uzupełniał jej poglądy, chcąc, żeby się coraz więcej awansowała. Stawała się też coraz swobodniejsza w mowie, wygłaszała bez zajknięcia rzeczy, które nawet mężczyźni między sobą ubierają w jakąś formę mniej brutalną. Twardowski nigdy nic podobnego z ust kobiety w żadnym kraju nie słyszał. Gdyby ta rozmowa, myślał, była nieco mniej inteligentna a za to znacznie mniej cyniczna i przywoitsza, można by mieć wrażenie kolacyjki w gabinecie restauracyjnym w towarzystwie paryskiej kokoty.

Widocznie państwo Brzozowscy mieli umiejętnego kucharza. Obiad był lekki, dyskretnie *piquant*, trochę w stylu półświatka.

Pod koniec obiadu pani spoważniała. Nie mówiła prawie nic, ruchy jej były coraz leniwsze... Tylko świecące przez szparki spod opuszczonych powiek czarne jej oczy ślizgały się wyzywająco po gościu.

- Chodźmy na kawę - rzekła, ciężko dźwigając się z krzesła.

Wzięła Twardowskiego pod ramię i poprowadziła go przez salon do leżącego za nim, na czerwono oświetlonego pokoju.

Twardowski stanął na progu i patrzył. Dywany wschodnie wszelkiego możliwego pochodzenia, kakemona japońskie, stoliki i szafki z laki, parawaniki, inkrustowane perłową masą stołki mauretańskie, mosiężne tace i dzbany arabskie, brązowe Buddy indyjskie, niebieskie wazy porcelanowe i hafty chińskie... W rogu mieściła się niska, ale za to niezwykle obszerna, kwadratowa otomana turecka, zarzucona poduszkami wszystkich krajów wschodnich; poduszki też były porzucane po całym pokoju, zastępując krzesła. Beładna, barbarzyńska mieszanina kłócących się ze sobą stylów, jak na bazarze wschodnim jakiegoś Port-Saidu.

- Ależ tu cał Wschód!...- zauważył Twardowski, nie dodając nic więcej, żeby nie urazić pani domu.

- Nieprawda? - odrzekła z odcieniem dumy w głosie. - A wie pan, co to jest Wschód? To najwyższą cywilizacją i najwyższą mądrość. Wszystko inne to barbarzyństwo i głupota.

- Dziękuję w imieniu Zachodu.

Roześmiała się.

- Pan tak jest przywiązany do Zachodu? To nie warto.

- Mówi pani tak, jakby sama pani do Wschodu należała.

- Należała!... Co to znaczy "należeć"? Mówi się nieraz "należeć", a myśli się – „posiadam” - tak mówi zwykle mężczyzna o kobiecie, albo kobieta o mężczyźnie. Trzeba trochę należeć, żeby całkiem posiadać. No, niech się pan uplasuje.

Posadziła go na otomanie, podsuwając mu stertę poduszek, żeby się wygodnie usadowił.

- Zaraz podadzą kawę, będzie dobra. A ja, nie chcąc zanadto odbijać od wschodu, pójdę tymczasem i zmienię tę niedorzeczną suknie europejską na coś, co będzie z tym tłem bardziej harmonizowało.

Znikła, a Twardowski zapytywał siebie, jak może coś harmonizować z taką kakofonią

Służący wniósł kawę i likiery na okrągłej, mosiężnej tacy i ustawił ją przed Twardowskim na niskim mauretańskim stołku.

Za chwilę weszła pani domu. Miała na sobie lekkie z *crepe de Chine* kimono. Twardowski widział wyraźnie, że pod tą powiewną szatą była tylko pani Brzozowska, nic więcej. Czekał spokojnie, co dalej będzie...

Przysunęła sobie leżące na dywanie dwie duże poduszki tureckie i usiadła na nich przy stoliku u nóg gościa. Nalała kawę.

- Cóż ten wasz dumny Zachód? - mówiła - czym on jest wobec starego, mądrego Wschodu?

- Jest światem człowieka niezależnego, mającego swoją samoistną duszę, swój świat wewnętrzny.

- Ha, ha, ha! - zaśmiała się szyderczo. - Ten wasz niezależny człowiek ze swoim

światem wewnętrznym to tylko rozkapryszony dzieciak!

Twardowski zastanawiał się, od kogo ona to usłyszała, bo to chyba nie był jej wynalazek.

- Do tego dzieciaka - odrzekł - świat dziś należy.

Spojrzała na niego wyzywająco.

- A on sam do kogo należy?..

Początkowo nie rozumiał tego pytania. Przypomniał sobie, że rozmawia z Żydówką, i... zrozumiał. Ta chełpliwa rasa zawsze się w końcu zdradza ze swymi zuchwałymi myślami.

Pani widocznie wyczytała coś z jego twarzy, bo zmieniła przedmiot. Od Wschodu przeszła do miłości.

- Wyższość Wschodu - rzekła - najlepiej się wyraża w tym, że tam mądrzej rozumieją miłość. Tutaj tak ją ozdobiono, że często spoza ozdób rzeczy samej nie widać. Teraz otrząsają się z tego, ale ciągle pozostaje dużo głupstw i blagi.

Mówiła dalej, wykładając swoje poglądy na miłość, poglądy bardzo zachęcające.

Oparła się, prawie położyła na jego kolanie. Czul buchający od niej zapach mocnych jakichś perfum. Ale przez te fale przedzierała się ostra, drażniąca, przykra woń jej bujnych, czarnych włosów. Paraliżowała siłę jej wdzięków, co ułatwiało Twardowskiemu zachowanie przytomności.

Głos jej omdlewał. Zaczęła mówiąc pojedynczymi, nie powiązаныmi zdaniami, prawie rytmicznie, jakby odmawiała jakieś inkantacje. Wreszcie grube jej powieki podniosły się i wbiła w gościa duże, płonące oczy...

Twardowski osłupiał. Toż to oczy Culmera... Czyżby?... nie słyszał, żeby miał on córkę. I znów, jak wczoraj po południu, postanowił zaryzykować.

- Jakież pani ma oczy podobne do ojca! - zawołał.

Odskoczyła od niego, niezdolna ukryć gniewu. Opanowała się wszakże.

- To pan zna mego ojca? - zapytała z udanym zdziwieniem.

- O tak! To bardzo wybitny człowiek.

- A skąd pan wiedział, że jestem jego córką?

- Pan mecenas Culmer ma zbyt duże stanowisko, żeby można było nie znać

jego

stosunków rodzinnych. Zresztą to widać od razu.

- Czyż naprawdę jestem tak do niego podobna?

- Nie... on nie jest brzydki, ale pani przecież jest piękna. Tylko oczy...

Udobruchał ją komplement.

- Przeklęte oczy - rzekła ze śmiechem. - Przykro jest pomyśleć, że nie są oryginalne.

Widziała, że te oczy zepsuły całą sytuację. Trzeba zaczynać na nowo... Bawiła go dalej rozmowa o Wschodzie.

Naraz powstała z poduszek, zadzwoniła na służącego i kazała zabrać stołek z kawą.

Sama podeszła do stolika z laki, na którym stała brązowa kadzielnica chińska, wyjęła z japońskiej szafki porcelanowa bombonierkę, widocznie Satsumę, i włożyła z niej coś do kadzielnicy. Potem zapaliła to przy pomocy wulgarnej szwedzkiej zapalniczki. Z kadzielnicy zaczął się unosić gęsty dym i rozszerzając się po pokoju, napełniał go siłą, odurzającym zapachem.

Stała przez jakiś czas jak kapłanka przed ołtarzem. Twardowski, na pół leżąc na poduszkach, przyglądał się jej i przypominał sobie jakieś malowidło.

Nagle wyjęła ramiona z szerokich rękawów, wyciągnęła je w obie strony, rozpięła poza sobą wzorzyste kimono i na jego tle wyprostowała się...

Zaczęła się wolnym krokiem posuwać ku otomanie. Oczy skromnie spuściła ku ziemi.

Stanęła u kolan Twardowskiego, z piersią podana naprzód, z oczyma prawie zamkniętymi.

Tego było za wiele. Intelkt wyciągniętego na otomanie mężczyzny na chwilę przestał działać. Na pół zerwał się, wyciągnął ramiona, by ją schwycić. Odskoczyła, drażniąc jego zmysły. Stanęła o kilka kroków.

Twardowski nieco oprzytomniał.

Nieostrożnie odwróciła się do niego bokiem.

W profilu linie jej ciała były znacznie mniej zabójcze. Uwydatniało się w nich wczesne przekwitanie kobiet jej rasy. A przy tym ta charakterystyczna dla Żydówek załamana linia karczka.

Czar prysnął.

- Zdaje mi się – rzekł Twardowski tonem zimnej refleksji - że jestem na jakiejś *feerie* w teatrze.

Pani Brzozowska szybkim ruchem włożyła z powrotem kimono na rękawy, zawiązała pasek o z ironią syknęła:

- Intelktualista.

- Opanowała się i usiadła koło niego na otomanie.

- Tylko tyle? - rzekła z wyrzutem. - Jaki z pana dziwny człowiek! Na każdym kroku refleksje. To skutek studiowania psychologii...

Widocznie nie dała jeszcze za wygraną. Zamilkła, obmyślając nowy atak, gdy Twardowski powstał.

- Co już pan chce iść?...

Stojąc we fraku przed tą żydowską pięknnością, na której obfitym ciele kimono wydawało mu się śmieszne, wśród tego turecko-arabsko-indyjsko-chińsko-japońskiego magazynu. Twardowski tworzył doskonały kontrast Zachodu ze Wschodem, nie z prawdziwym Wschodem, ale z takim, jakim go Zachód widzi.

- Mam jutro wstać wcześniej – rzekł – Zresztą pani nie lubi mężczyzn nudnych; na mnie zaś mocne zapachy działają przytępiająco. Tylko bym się coraz więcej w oczach pani kompromitował.

Widocznie namyślała się, czy go zatrzymać...

Wreszcie wyciągnęła leniwie rękę do dzwonka.

Nie wstając z otomany, pożegnała się z Twardowskim. Wszedł służący i wyprowadził go do przedpokoju.

Pani Brzozowska została sama.

Oczy jej patrzyły przed siebie, w przestrzeń, nie zatrzymując się na żadnym przedmiocie. Z płonących zrobiły się szkliste, twarde, bezlitosne.

Usta jej brzydko wykrzywiły się, rzuciły głośno jeden wyraz:

- Bydle!

Ciężko dźwignęła się z otomany i przeszła do gabinetu męża. Usiadła przy biurku, na którym panował wzorowy, pedantyczny porządek. Wzięła do ręki słuchawkę telefonu i podała numer.

- Czy mieszkanie państwa Taubenherzów?... Proszę panią do telefonu... Czy to ty, Mona? Dobry wieczór... Czy jeszcze są u ciebie poeci?... Jeden tylko? Czy może Szuwar... Nie. To już nie pytam. Domyślam się. Przyjemnej zabawy i dobranoc.

Po chwili wzięła znów słuchawkę i podała inny numer.

- Czy restauracja „Eden”?.. Czy tam jest na kolacji pułkownik Kosa Faworski?... Proszę zobaczyć i poprosić do telefonu... Nie potrzeba, on wie, kto mówi... Czy to ty Stefek? Zjadłeś już kolację? ... Przyjdź do mnie zaraz... Czekam.

I znów wzięła słuchawkę.

- Czy mieszkanie mecenasa Culmera? Mówi Hela... Już poszedł... Nie, nie można. Tu zaraz ktoś przyjdzie.. . Kłapa... Jestem pewna, że już tu nie wróci. To nie jest mężczyzna, to coś gorszego. Ja ci powiadam, że ty go nie doceniasz: to niebezpieczny frant. Wystrzegajcie się go... Nie warto więcej próbować. Ja się na tym znam... Jutro przyjdę do ciebie po śniadaniu. Słyszę dzwonek przy drzwiach. Dobranoc.

W przedpokoju słychać było brzęk odpasywanej szabli. Pani Brzozowska wróciła do swego wschodniego buduaru, padła na otomanę i pozostała w półleżącej pozycji.

Nazajutrz po śniadaniu mecenas Culmer siedział z córką przy czarnej kawie.

- Ja ci powiadam - mówiła Hela - że to jest komediant On cię oszukuje, tak jak mnie oszukiwał w rozmowie u Czarnkowskich i u mnie podczas obiadu. Dopiero potem zorientowałam się. Nie licz na niego - lepiej na tym wyjdiesz.

- Czy ty się nie mylisz, Helu? Może jakiś błąd popełniłaś? Może się czymś zdradziłaś?... .

- Cóż to ja jestem naiwne dziewczę! Czy mnie się kiedyś coś podobnego zdarzyło? Wiesz dobrze, że mi się zawsze udaje. Powiadam ci, że to "cwaniak", na którym się nie poznałeś. Sprawileś mi tylko upokorzenie i nic więcej... Wiesz, że byłabym zdolna go zamordować... Mimowolnie patrzyłam ciągle na ten krzywy nóż, malajski, czy jaki tam, który mi podarowałeś i który wisi u mnie na ścianie.

Mecenasowi przemknął błysk w oczach.

- Tak, gdyby to było możliwe... - rzekł cicho.

Oboje zamilkli.

- Ale butony będę miała? - rzekła Hela. - Doprawdy, zasłużyłam więcej, niż gdyby mi się udało. Takie upokorzenie! to z twojej winy... Musisz mi je kupić, jeżeli chcesz, żebym ci kiedykolwiek jeszcze pomagała.

Mecenas widział, że mu się cały interes bardzo źle kalkuluje, ale czuł, że brylanty będzie musiał kupić.

- O butonach - rzekł - pomówimy potem. Ważniejszą rzecz, co z tym Twardowskim zrobić. Ja dotychczas nie rozgryżłem tego franta... Wiec ty nie chcesz dalej próbować?

- Nie, bo nic z tego nie będzie. Każ mi go zabić, skandal mu zrobić, czy coś podobnego, prędzej się zdecyduje.

- Ha, trudno, może być, że masz słuszość. Zrobię jeszcze próbę: jeżeli się nie uda, sam sobie biedzie winien. Ty, Helu, zachowuj się tymczasem tak, jakby nic nie zaszło.

Tegoż dnia Twardowski miał telefon od Culmera, który prosił o przyjęcie. Odpowiedział, że jest zajęty i że może przyjąć mecenasa nazajutrz po południu.

Culmer przyszedł o umówionej godzinie; jak zawsze, godny, spokojny i uprzejmy.

Na wstępie zapytał Twardowskiego, jak spędził czas na wsi.

- Znam Turów - rzekł - bywałem tam, to bardzo sympatyczna siedziba. Szkoda tylko, że tak mało ziemi. Przy dzisiejszych cenach zboża niepodobna się na tym utrzymać. Szkoda, że Alfred nie włożył więcej pieniędzy w ziemię - nie byłby ich stracił podczas wojny. .

Twardowski śmiał się w duchu z poczciwej troskliwości mecenasa o jego dochody. .

- Co prawda - ciągnął mecenas - mówił pan, że pozostało po stryju trochę gotówki. Trzeba by ją tak ulokować, żeby nie przepadła, a dobrze się oprocentowała.

- Jest jej tak mało, że nie warto o tym mówić - odrzekł Twardowski.

- Szkoda... Tym bardziej musi pan pomyśleć o zdobyciu jakiegoś stanowiska, które zapewniłoby panu przyzwoity dochód. Nie może pan przecież obniżyć stopy życia, do której się pan przyzwyczaił. I to byłoby nienormalne, gdy mowa o tak zdolnym, jak pan, człowieku. Jednakże to nie powinno być rzeczą trudną, gdy się zważy pańskie osobiste dane i... moje stosunki. Przy moim poparciu może pan czuć się w Warszawie, jak u siebie. Wszystkie drogi są dla pana otwarte.

Twardowski go zapewnił, że niezmiernie ceni sobie życzliwość tak potężnego, jak pan mecenas, człowieka. Niezawodnie jednak upłynie jeszcze trochę czasu, zanim wybierze drogę, na której będzie chciał sobie przyszłość zapewnić. Wszystko nawykł robić z namysłem.

- To już uważałem - rzekł mecenas, kiwając głową z patronującą aprobatą - i powiem panu szczerze, bardzo mi się podobało, gdy podczas poprzedniej naszej rozmowy nie dał mi pan od razu odpowiedzi na moja propozycje. A propos, w ciszy wiejskiej pewnie pan już się zastanowił i powziął decyzję?

- O, tak - odrzekł swobodnie Twardowski.

- Cóż pan zdecydował?

- Zmuszony jestem stanowczo odmówić.

Mecenas zeszywniał.

- Dlaczego?

- Niczego tak nie cenie w życiu, jak niezawisłości. Nie uwierzy pan mecenas, co to za rozkosz wiedzieć, że każdy mój krok zależy od mojej, a nie cudzej woli, że jestem panem siebie i swego życia.

- Ależ tak żyć nie można. Z taką zasadą zginie pan, a przynajmniej zawsze pozostanie pan w cieniu, zmuszony żyć w biedzie.

- Czy tak? Czyż człowiek musi koniecznie się sprzedać, żeby mu było dobrze? Wie pan, że mnie by nigdy nie było dobrze na świecie bez poczucia, że należę całkowicie do siebie i że to, co zrobiłem, to moja praca, to moje własne dzieło.

- Ależ nikt rozumny tak życia nie pojmuje.

Twardowski uśmiechnął się.

- Dziękuję za komplement. Postaram się jednak przekonać pana, że tak nie jest. Stryj mój, Alfred, był niewątpliwie człowiekiem bardzo rozumnym. Choć całe

wykształcenie na jego koszt zdobyłem, nie starał się on wpływać na moja wolę, kierować moimi krokami, pozostawił mi całkowitą samodzielność. Raz tylko dał mi rade i silny nacisk na nią położył, tak że rozumiem ją jako nakaz. Było to w chwili, gdy zdałem ostatnie egzaminy uniwersyteckie. Powiedział mi: "Prócz przysięgi własnej ojczyźnie i przysięgi żonie, nie składaj nikomu żadnych zobowiązań, żadnych przysięg, które cię wiązałyby na całe życie. Zatrujesz swą duszę, złamiesz swój charakter, zatracisz sumienie, znikczemniejesz, z wolnego człowieka staniesz się nędznym niewolnikiem. Jeżeli zaś będziesz usiłował zrzucić z siebie jarzmo, złamią cię, zniszczą twe życie". O tych słowach stryja myślałem teraz w wiejskiej ciszy Turowa.

Twardowski mówił prawdę, słowa stryja pamiętał dobrze i miał kilka już momentów w życiu, kiedy musiał je sobie przypomnieć.

Culmer przymrużył oczy i patrzył na Twardowskiego, sumując w myśli wszystko, co dotyczyło tego człowieka. Hela ma słuszość. Tak, to komediant: od początku go oszukiwał i ciągnął za język... Drogo za to zapłaci.

Powstał z fotela. .

- Wiec ostatnie słowo pańskie jest...

- Nie.

- Dobrze. Pozostaje mi tylko ostrzec, że gdyby ktoś się od pana dowiedział o naszej poprzedniej rozmowie i dzisiejszej, miałby pan wielkie przykrości. Sam pan to chyba rozumie.

- Postąpię tak, jak będę uważał za potrzebne. Złożył Culmerowi suchy ukłon, wskazując mu, że uważa rozmowę za skończoną.

Rozdział XIV

Wieczór tego dnia mecenas Culmer spędził sam w swoim gabinecie. Siedział bez ruchu i myślał.

Czuł się bardzo nieszczęśliwy. Wszystko poszło całkiem przeciwnie, niż sobie obiecywał.

Kiedy się dowiedział o śmierci Alfreda Twardowskiego i przyjeździe do Warszawy jego synowca, doznał ulgi, że od tamtego nic mu już nie grozi i zrodziła się w nim nadzieja, że młodego użyje do swych celów. Tę nadzieję Zbigniew Twardowski z początku w nim podsycił, zachęcił do wygadania się i raptem front zmienił. Widocznie działał z planem. Jaki to może być plan? O co mu chodzi?...

Ta myśl przygniatała go, dusiła jak zmore.

Pod jej naciskiem patrzył teraz czarno na całe swoje życie. Przecież nie od dziś psuć się ono zaczęło...

Wszystkiemu winna wielka wojna.

Zapowiadało się świetnie. Nie było wątpliwości, że Niemcy odniosą wielkie zwycięstwo. Wówczas on, stojący na czele organizacji, która na swoim terenie przygotowywała to zwycięstwo, mający pierwszorzędne stosunki w Berlinie, wyrósłby na pierwszego człowieka w tym kraju. Najkorzystniejsze interesy znalazłyby się w jego rękach, a losy ludzi zależałyby od skinienia jego palca...

Tymczasem... Wszystko poszło inaczej. Do tego jego władzę za granicą przeznaczyły mu w owym czasie bardzo trudną rolę. Gdy w połowie wojny postanowiły zmienić front i przejść na stronę przyszłych zwycięzców, jemu kazały trwać na poprzednim stanowisku. To było bardzo mądre, ale dla niego połączone z wielkimi trudnościami, nawet z osobistymi ofiarami.

A po wojnie?...Tyle się w tym kraju wywróciło do góry nogami. Powyrastały nowe ugrupowania organizacyjne, nowi ludzie, czerpiący wpływy z polityki, w której on się nie orientował. Już był za stary, żeby się do tych nowych warunków należycie przystosować, wielu nowych rzeczy nauczyć. Wpływy jego i jego grupy bardzo się skurczyły. Wprawdzie w tych nowych ugrupowaniach wiele było nieporządku i niezdarności, za mało kultury i taktu; jego grupa była najpoprawniejsza, miała najbardziej wyrobionych ludzi - nie groziły jej żadne skandale organizacyjne. Miała ona duże wpływy, ale przeważnie w starszym pokoleniu, i to w sferach, wprawdzie zamożniejszych, ale pozbawionych politycznej siły. Dla ratowania swoich interesów były one zmuszone do czepiania się przy innych żywiołach. Tamte wyzyskiwały swą przewagę i lekceważąco traktowały swych przymusowych sojuszników. Lekceważenie to nieraz odczuwał on sam na sobie. Jakże inne były przedwojenne czasy, kiedy czuł się wielką potęgą i jednym z największych w kraju autorytetów!...

Wówczas polityka była inna. Wówczas nie robiło jej się na hałaśliwych wiecach, nie wdzierano się tak ordynarnie w osobiste sprawy przeciwnika. To, co on uważał za politykę, robiło się na poufnych naradach, w których brali udział ludzie kulturalni, dyskretni. On wprawdzie był bezpartyjny, z żadnym obozem się ściśle nie wiązał, ale sfery najbardziej umiarkowane miały do niego zaufanie i zawsze go zapraszały, ilekroć chodziło o jakiś krok ważniejszy w stosunku do rządu czy społeczeństwa. Miał wielki wpływ na ich postępowanie, nie biorąc za nie odpowiedzialności i nie kompromitując się w razie, gdy dany krok był niepopularny.

Ten system postępowania stosował i dziś; nie będąc konserwatystą, stał się duszą powojennego konserwatyzmu polskiego. Całe nieszczęście, że ten konserwatyzm miał za mało znaczenia.

Tę swoją, choć zredukowaną, ale jednak wpływową pozycję zawdzięcza przede wszystkim swemu taktowi i temu, że jego grupa posiada najwyższe ze wszystkich zalety organizacyjne...

Miał w niej wprawdzie jeden skandal, także w związku z tą nieszczęśliwą wojną. Już w czasie przygotowań do niej wybuchła sprawa Alfreda Twardowskiego. Ale tego udało się złamać, wyrzucić poza ramy życia. Ciągłe przedstawiał on pewne niebezpieczeństwo, ze względu na to, co wiedział, i na dokumenty, które posiadał. Jednak, sterroryzowany, ani z jednego, ani z drugiego nie zrobił użytku...

Teraz po jego śmierci zjawia się drugi Twardowski. Nie wiadomo, co nosi w zanadru, co zamierza, ale na pewno coś złego...

Twardowski jest niebezpieczeństwem i dla niego osobiście, i dla organizacji, i dla celu, któremu musi ona służyć...

Mecenas Culmer, pomimo wszystko, miał cele, dla których umiał się poświęcać. Choć Twardowski uważał go za łotra bez zasad, miał on swoje zasady; nie te wprawdzie, które wygłaszał i które mu przypisywano w szerokich kołach, ale zasady miał...

Pod względem tych zasad niżej stał od swego ojca, któremu pozycje w głównej mierze zawdzięczał, ale nie był z nich wyzuty.

Ojciec jego, Józef Culmer, jako umysł i jako charakter, był bez porównania wybitniejszym od niego człowiekiem. Cieszył się on powszechnym uznaniem, ale ci, co mu je okazywali, nie mieli nawet słabego pojęcia, z jak wielkim człowiekiem mają do czynienia.

On zaś był skromny i chował właściwą swoją wielkość pod korcem.

Wiedziano o nim, że był uczestnikiem powstania 63 roku. Nie poszedł wprawdzie ze strzelbą do lasu, ale odznaczył się w Warszawie, w rozmaitych naradach i komitetach obywatelskich. Mówiono po cichu o jego stosunkach z

Rządem Narodowym, a bardziej wtajemniczeni wiedzieli, że wystawił się na ogromne niebezpieczeństwo, wzięwszy na siebie zakup wielkiego transportu broni w Anglii. Tylko skutkiem jakiegoś nieszczęsnego zbiegu okoliczności ta bron do kraju nigdy nie doszła. Za to szczęście mu sprzyjało w tym, że Moskale nigdy nie wykryli jego tak czynnego udziału w powstaniu, skutkiem czego uniknął zesłania, katorgi, a może nawet powieszenia. Po powstaniu pozostał w Warszawie, gdzie był w tej ciężkiej dobie jednym z gorętszych patriotów, niestety, zmuszonych do wielkiej ostrożności. Toteż nazwisko jego wymawiano z ogromną czcią; byli tacy, co pochylali przy tym głowę.

Sam fakt, że Henryk Culmer był synem takiego człowieka, już mu zapewniał zaufanie w sferach bardziej świadomych rzeczy. Za zaufaniem poszedł wpływ i powodzenie.

Jeszcze więcej zawdzięczał naukom ojca, których ten mu nie szczędził, zwłaszcza w czasie, gdy chłopak dorastał. Niektóre były bardzo interesujące.

- Moją rolą – mówił stary - było pozyskać stanowisko wśród Polaków i kierować jak najskuteczniej ich postępowaniem. Dlatego musiałem się ochrzcić i schować swe żydostwo. To mi się udało: uchodzimy za Polaków pochodzenia angielskiego. Ale w tym jest jedno nieszczęście: nie mogłem ci dać gruntownego wykształcenia żydowskiego. Ja więcej umiem, niż niejeden rabin; ty nie znasz nawet języka hebrajskiego i najmądrzejsze pisma są dla ciebie niedostępne. Toteż możesz w życiu zająć i pewnie zajmiesz duże, znacznie większe ode mnie stanowisko, ale wśród naszych, w ich władzach wewnętrznych, wysoko zająć nie możesz...

Co prawda Henrykowi więcej chodziło o stanowisko w życiu i o używanie życia. Stary to widział i mówił o tym z niepokojem:

- Ja także lubiłem używać życia i nie odmawiałem sobie niczego, gdy mnie stać na to było. Jadłem zawsze i piłem dobrze. Od kobiet też nie uciekałem. To już leży w naszej naturze – dodawał z cynicznym uśmiechem.

- Ale ja na każdym kroku pamiętałem o naszej sprawie. I dlatego zrobiłem w życiu wielkie rzeczy. Gdyby nie ja, może by powstania nie było. Berlin beze mnie nie zrobiliby tego, o co mu chodziło. A powstanie nas posunęło dużo naprzód. Patrz, czym byliśmy w tym kraju przed powstaniem, a czym dziś jesteśmy...

Poruszając ten temat, zawsze się zapalał:

-Ta ziemia musi być nasza: to już od dawna nasi mędrcy nam mówili. I Niemcy i Moskale i sami Polacy do tego nam pomagają. I trzeba ich popychać, żeby nam coraz więcej pomagali. Ty musisz po mnie przejąć tę robotę, a do tego trzeba wiele rozumu, wiele czujności i ciągłego pamiętania o sprawie. Ja ci nie mówię, żebyś sobie czegokolwiek odmawiał: tylko trzeba panować nad sobą i nic nie popsuć dla przyjemności przede wszystkim sprawa – przyjemność nie ucieknie. A jedno zaniedbanie, jeden błąd mści się okrutnie.

Henryk zapalał się do roli, którą mu ojciec przeznaczył. Wpojone przez ojca zasady i jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że tej sprawie trzeba służyć. Przewyższał starego ambicją i obiecywał sobie większą jeszcze, a przynajmniej świetniejszą rolę od niego odegrać.

- Z Polakami łatwo – ciągnął stary - tylko trzeba być mądrym i trzeba ich znać. To są straszni patrioci. Aj, aj, aj, jak oni kochają tę swoją Polskę. Co oni się nad nią naplaczają! Co oni jej komplementów nagadają! Trzeba to samo robić. Widzisz, tu na rogu stoi Mickiewicz z gipsu, a przed nim lampka się pali. Oni to widza i nie masz pojęcia, jak oni mnie za to kochają. Ale za ile groszy dziennie tej oliwy się wypali?.. To mnie nie zrujnuje. Gdyby oni dostali z powrotem swoje państwo i na nowo by im było wszystko wolno, to ci ręczę, że bez przerwy urządzałiby jubileusze, rocznice,

zjazdy, obchody, pochody: staraliby się, żeby ta biedna Polska, co się tyle wycierpiała, miała co dzień jakąś przyjemność. Nie masz pojęcia, jak ich to boli, że Moskale na to nie pozwalają. Jak nie mogą inaczej, to urządzają jubileusz jakiegoś radcy, a po cichu sobie powiadają, że to dla Polski. Trzeba ich do tego zachęcać i brać w tym udział: to ich cieszy, a nam nic nie szkodzi. Lepiej, żeby się bawili dla Polski, niż pracowali dla niej. A gdy przyjdzie odpowiednia chwila, pchnąć ich dalej do krwawych manifestacji, żeby się dali zarzynać i zarzynali Polskę. Tak zrobiliśmy w 63 roku. I w tym jednym roku uszliśmy naprzód więcej, niż przez trzydzieści lat poprzednich. A im przybywa jeszcze jedna rocznica do obchodzenia...

- Oni mogliby być niebezpieczni - bo to zdolny naród - całe szczęście, że nie lubią myśleć i nie lubią się często fatygować. Jak się raz wysilą od wielkiego święta, to potem przez całe lata odpoczywają. Łatwo im zaprzętać głowy głupstwami i przeszkadzać w myśleniu i to trzeba stale robić. Czasem znajdzie się wśród nich łądak mądrzejszy i energiczniejszy - może nam dużo szkody zrobić, szczególnie, jeżeli umie zdobywać sobie wpływ na swoich. Takiego trzeba podpatrywać, czy nie robi jakiegoś głupstwa, czy mu się w czym noga nie powinie. Wtedy go pchnąć gwałtownie, żeby się przewalił i więcej nie podniósł. To nie jest tak trudno, bo oni umieją jeden błąd więcej człowiekowi pamiętać, niż całe życie zasług. A tych, co nam dobrze służą, trzeba popierać, wywyższać, wmawiać w nich wielkość...

Henryk pił chciwie z ust ojca nauki; zapadały one głęboko w jego młodocianą duszę.

- A co będzie - zapytał raz - gdy oni zmądrzeją? Oni teraz się uczą robić Interesy...

Stary się roześmiał.

- Długo muszą się uczyć: nie wiadomo, czy będą mieli czas. To nie tak łatwo umieć chodzić koło pieniędzy. Ja ci ręczę, że oni najpierw nauczą się ordynarnie kłać, niż powiększać polski majątek, i zanim Polskę wzbogacą, już ją rozkradną. I do tego także trzeba ich zachęcać. Ta nauka łatwo przychodzi. Gdy ułatwisz człowiekowi kradzież w jakiejkolwiek formie, już go masz w rękę, już ci musi służyć wiernie i na twoje bogactwo się składać.

- Oni muszą na nas pracować! - zawołał z entuzjazmem Henryk.

- Oni lepiej pracują na kogoś, niż na siebie. Bo gdy pracują na siebie, nie ma ich kto popędzać, a oni, jak bydlaki, bez popędzania niewiele zrobią.

Stary Józef Culmer, przy całej swej reputacji wielkiego patrioty polskiego, miał o Polakach bardzo ujemną opinie. Patriotyzm wszakże nakazywał mu te opinie chować dla siebie i dla najbliższych: w szerszych gronach unosił się nad cnotami narodu polskiego i oburzał się na podłość wrogów, którzy gnębią ten najniebezpieczniejszy z narodów właśnie za jego cnoty.

Nie było przedmiotu, o którym by mówił z takim zapalem, z takim błyskiem oka, jak o pieniądzach.

- Pieniądze przechodzą w nasze ręce i przyjdzie nie za długo czas, że tylko my je będziemy mieli. Wtedy wszyscy oni będą w naszej niewoli, będą służyli nam za część tego grosza, który żeśmy im zabrali. Ty, Henryku, będziesz bogaty, a twoje dzieci jeszcze bogatsze...

Tu wszakże dodawał:

- Tylko nie trzeba być skąpym. Trzeba część swego grosza oddawać. Składaj głośno ofiary na ich cele: to się opłaci, to się stokrotnie wraca. I składaj po cichu dziesięć razy tyle na nasze cele. Sprawa nasza nie tylko wymaga, żebyśmy my sami byli bogaci, ale żeby nasz naród miał swoje fundusze na popieranie swoich celów. Każdy z nas musi się na te fundusze składać; i dlatego, że to umiemy, idziemy do

zwycięstwa. Oni dużo o swej Polsce krzyczą, ale nic dla niej nie robią i nic jej nie dają i dlatego my nad nimi zapanujemy.

Nauki te wpajały mocną wiarę w Henryka, wiarę we własną przyszłość i w zwycięstwo jego rasy.

Gdy po studiach prawnych w kraju i za granicą został w Warszawie adwokatem, dzięki ojcu od razu stanął mocno. Bardzo wcześnie ojciec go wprowadził do potężnej organizacji światowej, co umocniło go niemało w przekonaniu, że jest przeznaczony do wielkich rzeczy. I w organizacji droga jego do wyższych przeznaczeń była skrócona. Przez ojca wszedł od razu w stosunki z wyższymi osobistościami za granicą; ojciec też przed inicjacją przygotował go należycie, pouczył o charakterze organizacji, o sposobach działania i o istotnych jej celach. Dzięki ojcu od początku dowiedział się o rzeczach których inni członkowie organizacji, nawet zajmujący wysokie stopnie, nie dowiadawali się przez całe życie.

Wreszcie ojciec zostawił mu tyle pieniędzy, że to w rekach człowieka zdolnego mogło stać się podstawą dużego majątku.

Szedł przez życie pewnym krokiem zwycięzcy i życie mu dawało wiele. Żył za kilku ludzi i kilku rodzajami życia: dla ogółu był znanym, zacnym i mądrym mecenasem Culmerem; dla wtajemniczonych był władzą, z ukrycia kierującą ich postępowaniem i decydującą o wielkich sprawach; dla więcej wtajemniczonych był mężem zaufania i głównym wykonawcą planów, prowadzących do oddania tego kraju w ręce jego rasy; dla siebie wreszcie i paru bliskich towarzyszy życia śmiałym organizatorem tych uciech, nie bojącym się rodzajów życia, które mogły mu bardzo popsuć reputację, a nawet zaprowadzić do kryminału. Na szczęście by zręczny i ostrożny. .

I oto ten silny człowiek siedział teraz pogrążony w ponurej zadumie.

Nawet do dawno już nie żyjącego ojca miał żal w tej chwili, że zbyt pomyślnie przedstawiał przyszłość. Stało się wiele rzeczy przez ojca nieprzewidzianych i wśród Żydów, i wśród Polaków, i na całym świecie. Prawda, że Żydzi nigdy nie byli tacy potężni, jak obecnie, ale ile jest rys w tej potędze, ile im grozi niebezpieczeństw i to takich, na które zdaje się nie ma sposobu. Organizacja, w którą wierzył niezachwianie, nigdy nie była tak rozwinięta, jak obecnie, ale bodaj nigdy nie była tak rozluźniona, tak słabo nie trzymała w ręku swoich ludzi, nigdy nie było powodów do obawy, że się może rozwalić. On sam, Henryk Culmer, jest bogaty, choć nie tyle, ile się spodziewał i ma duże stanowisko, dziś zresztą wielce zredukowane. Ale co będzie z jego synem?.. Karol dotychczas nie wygląda na człowieka, który będzie robił majątek: on go raczej puści. Jest lekkomyślnym próżniakiem. Bawi się w interesy, z których nic nie ma, i ciągle potrzebuje od ojca pieniędzy. Brak rozumu zastępuje cynizmem, kpi sobie ze wszystkiego i wyrabia sobie reputację zwyczajnego łobuza. Gdzie taki człowiek może wyrobić wpływ na ludzi i poważne stanowisko? Czy on się z wiekiem zmieni?..

Jedyny syn był ciężką troską czcigodnego mecenasa, stale mu dostarczał najczarniejszych myśli.

W tej wszakże chwili najwięcej go trapił Twardowski.

Już z jego stryjem nie mógł sobie poradzić tak, jak chciał. Ale z tamtym uniknęło się skandalu i nie dopuściło do wielkiej szkody. Z tym może być gorzej...

Teraz już nie ma wątpliwości, że to wyraźny wróg, przebiegły, działający z zimną krwią, idący do jakiegoś celu, którego nie odsłania. Z takim Polakiem jeszcze się nie spotkał. Bo też bardzo mało w nim jest Polaka. I dlatego jest niebezpieczny... Trzeba by go po prostu uprzątnąć, ale to łatwiej powiedzieć niż wykonać. Prawda,

można wszystko zrobić za pieniądze; ale ludzie, którzy robią za pieniądze, łatwo zdradzają...

Wzdrygnął się na myśl, że mógłby być zdradzonym.

Mecenas Culmer na niejednego człowieka patrzył tak, że gdyby spojrzenie mogło zamordować, tamten padłby trupem. Na szczęście zapas odwagi, który posiadał, pozwalał mu jedynie na rzucanie spojrzeń morderczych. Wiele by nieraz dał za to, żeby miał wykonawców, których by mógł posłać na załatwienie morderstwa, ale tak, żeby nie wiedzieli, kto ich posłał.

Jeżeli kiedy mu potrzeba było takich wykonawców, to właśnie teraz. Twardowski stanowczo nie powinien chodzić po powierzchni ziemi... Tymczasem jednak nie mógł nic wymyślić i nie widział nikogo, kto by mógł w tym dopomóc.

Co robić?..

Trzeba zacząć wroga osaczać... Całe szczęście, że nie jest bogaty i że jest mało

Znany, nie posiada związków w miejscowym społeczeństwie, nie ma wśród niego żadnej pozycji. Można pozamykać przed nim wszystkie drogi, którymi mógłby się wydostać na widownię, uniemożliwić mu egzystencję, zmusić do ucieczki. Niech sobie wraca za granicę i tam będzie klepie. Jest zdolny i wykształcony, ale ilu ludzi ze zdolnościami i nawet wykształceniem pokręciło karki, gdy im się zachciało być zanadto niezależnymi. Ceni swoją niezależność. Zobaczymy, co on z nią zrobi. Trzeba działać bez zwłoki - zdecydował.

Mecenas Culmer miał jedną wielką zaletę. Upadek na duchu wobec niebezpieczeństwa trwał u niego tylko dopóty, dopóki nie widział drogi wyjścia. Kiedy wszakże znalazł drogę, choćby nienajlepszą, choćby wątpliwą, bezwładny pesymizm mijał, jego miejsce zajmowała energia czynu.

Zaczął działać i jak każdy wielki wódz działał szybko.

Rozdział XV

Na czwartku u Czarnkowskich elegancki profesor Kozieniecki przywitał się z Twardowskim tak zimno, że to było aż niezgrabne.

- Cóż u licha! - rzekł do siebie Twardowski - czyż on już zaczął mnie uważać za swego rywala?...

Niebawem spostrzegł, że to nie tylko Kozieniecki się zmienił. Wiele innych osób, mężczyźni i kobiety, które mu się wczoraj narzucały, dziś udawały, że go nie widzą lub traktowały go obojętnie, prawie z lekceważeniem.

Wiele sobie z tego nie robił, nawykły do obiektywnego traktowania ludzi, niewiele dbał o to, co o nim myślą. Niemniej instynktownie przybrał postawę lekceważącą i pogardliwą człowieka, urażonego w swej dumie. Jako wprawny psycholog od pierwszej chwili zrozumieli, że tu idzie przeciw niemu jakaś robota.

Gdy się witał z panią Czarnkowska, ta go zapytała:

- Czy panu bardzo się dziś spieszy?

- Nie.

- Czy może pan wyjść ostatni? Chciałabym z panem pomówić.

Przyszedł tym razem późno, więc bez wielkiego poświęcenia mógł się doczekać opróżnienia salonu.

Panna Wanda przywitała się z nim po przyjacielsku, ale z jakąś niezwykłą powagą. Robiła wrażenie, jakby miała mu coś do powiedzenia, ale się bała.

Gdy ostatni goście opuszczali salon, pani Czarnkowska na niego skinęła, jednocześnie zaś dała znak Wandzie, żeby znikła.

Twardowski usiadł przy niej. Byli sami w salonie.

- Pan mi zapowiedział - rzekła nieśmiało - że mnie użyje do pomocy. Obiecał mi pan to. Czy już teraz mogę się panu na coś przydać!...

- Teraz jeszcze nie, ale może bardzo rychło.

Wpatrywała się w niego, jakby chciała jego ukryte myśli wyczytać.

- Panie Zbigniewie - rzekła bojaźliwie - nie obrazi się pan na mnie, jeżeli o jedną rzecz zapytam?...

. - Jakże mógłbym się na panią obrazić! Tak wierzę w pani przyjaźń.

Wahała się przez chwilę.

- Dla celu, który pan sobie postawił, musi pan potrzebować także i pieniędzy?..

Roześmiał się wesoło.

- Tego to mam więcej, niż mi potrzeba.

- Otworzyła szeroko oczy.

- Więcej... niż... potrzeba...

- Dlaczego pani się tak dziwi?

- Mówią...

- Że nie mam nic, że stryj stracił cały majątek.

Nie zaprzeczyła.

- Miło słyszeć - rzekł ze śmiechem - że poczciwy mecenas Culmer tak się o mój los troszczy.

- Ja to nie od niego słyszałam.

- Ale od niego to wyszło. Otóż zapewniam panią, iż stryj zostawi mi tyle, że Mam zapewnioną całkiem swobodę ruchów i niezależność. Jaka pani dobra, że się tym zainteresowała.

- Bo to sprawa i pana i Alfreda.

- A gdybym był bankrutem i istotnie pieniędzy potrzebował?

Oczy jej zabłyśły.

- Wyciągnęłabym od męża wszystkie swoje pieniądze i złożyłabym je w ręce pańskie. Alfred by to pochwalił. Niech pan pamięta, że zrobię to na każde pańskie skinienie.

Twardowski, wzruszony, ucałował rękę biednej kobiety.

- Dziękuję z całego serca - rzekł. - Na szczęście jestem zamożniejszy, niż ludzie myślą.

- Skąd więc te pogłoski?

- Sam jestem w części ich autorem. Wygodniej mi na razie uchodzić za uboższego, niż jestem. Ale widzę, że mój w tym wypadku współpracownik, pan Culmer, poszedł znacznie dalej ode mnie.

Pani Czarnkowska zamyśliła się.

Zaczęła mówić cicho, jakby do siebie:

- Wtedy tak samo się zaczęło. Zjawily się pogłoski, że Alfred jest zrujnowany.

Po nich przyszły inne, coraz gorsze, coraz potworniejsze...

- Prawdopodobnie i teraz tak będzie - rzekł spokojnie Twardowski.

- To straszne. Już dziś uderzyła mnie u niektórych osób jakaś niechęć do pana.

- Zauważyłem ją. Na to wszakże wystarcza wiadomość, że jestem bez grosza.

To brzydka wada. Ale wierzę w mego przyjaciela Culmera, że na tym się nie zatrzyma i wymyśli na mnie wiele ciekawszych rzeczy.

- Boże, Boże! - biadała pani Czarnkowska - jakiż ten świat okropny! Jak ja się tego boję! ...

Na raz w głosie jej zjawiała się dziwna namiętność:

- Jestem słabą kobietą, ale będę walczyła do ostatnich sił... za pana. Alfred to będzie widział!...

Wyczerpana tym wybuchem padła bezwładna w głąb fotela.

Twardowski serdecznie się ze swą sojuszniczką pożegnał.

Wracając do domu piechotą, myślał o czekającej go kampanii, której pierwsze strzały już padły. Nie bał się walki, ale nie widział jeszcze, jak i czym sam będzie walczył. Cieszyło go, że ma sojuszniczkę w pani Czarnkowskiej. Słaba, dogasająca kobieta. Tak, ale ona nie dopuści do tego, żeby jakiegokolwiek oszczerstwo znalazło wiarę u Wandy.

Zbliżał się do swojego domu, gdy uwagę jego zwrócił stary, brodaty Żyd, zamożnie, choć nie po europejsku ubrany, w długim paltocie i w małej okrągłej czapeczce na głowie. Dotychczas obserwował podobne typy z daleka; nigdy nie miał z nimi do czynienia.

Żyd szedł prosto na niego.

- Przepraszam - rzekł, zdejmując czapeczkę - czy pan hrabia Twardowski?

- Twardowski, ale nie hrabia.

- Ja bardzo przepraszam pana hrabiego, ale ja chciałem pomówić o jednym interesie. Czy mógłbym wejść na chwilę?

- A co to za interes? Kto pan jest?

- Ja jestem Cukierman.

- O co panu chodzi? Może pan zaraz powiedzieć.

- Tak na ulicy?...

- Można na ulicy.

- Ja słyszałem, że pan hrabia ma zamiar zaciągnąć pożyczkę. Ja bym mógł służyć na bardzo dogodnych warunkach.

Oho - pomyślał Twardowski - widzę, że moja finansowa reputacja szeroko już się rozeszła.

- Kto panu powiedział, że ja mam zamiar zaciągnąć pożyczkę?

- To mój fach, proszę pana hrabiego, wiedzieć takie rzeczy. Ale każdy fach ma swoje sekrety.

- To powiedz pan swemu tajemniczemu informatorowi, że niepotrzebnie zajmuje się moimi interesami. Źle pana poinformował, pożyczki nie potrzebuje.

- Na wszelki wypadek, może pan hrabia weźmie mój adres. Ja mam telefon i zawsze się stawię.

Wsunął bilet w rękę Twardowskiemu i oddalił się z uniżonym ukłonem.

Widocznie, jeden z przyjaciół i agentów Culmera - mówił do siebie Twardowski. - Tamten wierzy niezłomnie w moją biedę i przez nią postanowił do mnie do mnie. Nie udało mu się zrobić mnie grabarzem, ani kochankiem pani Brzozowskiej - liczy teraz, że mogę być wzięty na łańcuch, jako dłużnik pana Cukiermana. Przyjaciel Culmer jest nie lada Metternichem...

Gniewało go jednak, że przeciwnik ciągle się rusza, ciągle coś przedsięwzię, on zaś stoi w miejscu i biernie czeka, co dalej nastąpi. Tamten zna wybornie stosunki miejscowe, posiada licznych agentów i współpracowników, on zaś jest tu obcym, stoi sam, cała jego armia składa się z biednej, złamanej kobiety... Teraz zaś już czekać nie można, bo walka bodaj rozpoczyna się na dobre.

Zaczął wyrzucać sobie, że zbyt zadowolony był dotychczas znajomościami salonowym, z których nie ma żadnego pożytku, że nie nawiązał dotychczas

stosunków z ludźmi, w których mógłby znaleźć sojuszników. Przecież tacy ludzie są na pewno w polityce, w prasie, w instytucjach i organizacjach, w których się pracuje i walczy. Najgorsza, że on o właściwym życiu polskim nie ma pojęcia.

Widzi rozmaite jego przejawy zewnętrzne; jedno przeczuwa, drugie podejrzewa, ale ciągle jest jak w lesie.

Teraz, choćby nie chciał, będzie musiał karierę salonową skończyć. Pomoże mu w tym Culmer, który zaczął od wyrabiania mu reputacji bankruta, a niezawodnie na tym się nie zatrzyma. Nawet na czwartkach u Czarnkowskich nie można będzie się pokazywać. Panią Czarnkowską i, ma się rozumieć, pannę Wandę musi widywać, ale nie w dniach przyjęć. Tym bardziej jest zmuszony szukać innych ludzi...

Nigdy nie czuł takiej potrzeby posiadania przyjaciół, jak w tej chwili.

Przypomniał sobie księdza Rybarzewskiego. To niewątpliwy przyjaciel. Trzeba go odwiedzić. Kazał zatelefonować po samochód i wyjechał na parę dni do Turowa.

Pierwszego zaraz dnia odwiedził proboszcza. Powiedział mu o swoim zamiarze wycofania się z życia salonowego i poszukania sobie towarzystwa ludzi, którzy tworzą istotne życie tego kraju.

- Tacy ludzie - rzekł ksiądz - są dla pana właściwym towarzystwem. Ale przecież można pogodzić jedno z drugim. Jest pan człowiekiem młodym - nie można żyć samymi poważnymi rzeczami.

Twardowski się uśmiechnął.

- Zdaje się, że przez pewien czas salony będą dla mnie niedostępne.

Ksiądz spojrział zdziwiony.

- Pan Culmer - ciągnął dalej Twardowski - rozpoczął ze mną walkę i zabrał się do psucia mi reputacji.

Ksiądz nagle sposepniał. Zadał parę pytań gościowi w sprawie doświadczeń, które miał ostatnimi dniami na warszawskim gruncie, potem zamilkł. Widać było, że wiadomości Twardowskiego poruszyły go głęboko. Stracił zwykłą werwę; siedział chmurny, zamyślony. Chwilami nie słyszał, co gość do niego mówił.

Twardowski opuścił proboszcza pod wrażeniem, że ten więcej się przejął od niego samego jego walką z Culmerem.

Wróciwszy do swego mieszkania w Warszawie, zastał bilet profesora Franciszka Piętki. Pamiętał go dobrze z przyjęcia u Osieckiego, na którym się poznał z Topolińskim i Kozienieckim. To był bodaj najsympatyczniejszy ze współbiesiadników.

Trzeba go będzie bliżej poznać.

Tegoż popołudnia poszedł do profesora z rewizytą i szczęśliwie zastał go w domu.

Młody oryginał przyjął gościa w gabinecie, którego wygląd świadczył o słabym zamiłowaniu gospodarza do systematyczności i porządku, ale jednocześnie o wyczerpanej pracy.

Był rad z gościem, ale i zakłopotany.

- Przepraszam - zaczął - za ten nieład...

- Niech mnie pan nie przeprasza - zaśmiał się Twardowski - ja do tego jestem u siebie przyzwyczajony. Uważam nawet, że przy dużej pracy porządek jest niemożliwy.

Piętka się rozjaśnił, widząc człowieka, który go rozumie. Usadowiwszy gościa w fotelu, siadł naprzeciw niego i zaczął od razu mówić tonem przekonującej szczerości:

- Byłbym przyszedł do pana wkrótce po naszym spotkaniu u Osieckiego. Pan zrobił na mnie wrażenie ogromnie mądrego człowieka: ma pan w pięcie więcej rozumu, niż taki np. Topoliński w głowie. Jedna rzecz zaś mnie zatrzymała...

Twardowski czekał, co dalej usłyszy. Nagle gospodarz bez żadnych przygotowań

rzucił pytanie:

- Czy pan wie coś o "grabarzach"?

- O Związku uczynnych grabarzy?

-Tak.

- Wiem sporo.

- Otóż zaraz po naszym spotkaniu "grabarze" u nas na uniwersytecie zaczęli robić panu ogromna reklamę. Wyciągnąłem stąd wniosek, że pan do nich należy i dlatego do pana nie poszedłem.

- Nic o tej reklamie nie wiedziałem - rzekł śmiejąc się Twardowski. -Ale widzę, że pan zmienił zdanie, skoro pan był łaskaw mnie odwiedzić? Czyżby przestali mnie reklamować?

- To rzecz niesłychanie dziwna. Z początku opowiadali, że przyjechał z zagranicy człowiek pierwszorzędny, inteligencja nie pospolita, wiedza ogromna, kultura wysoka -niezwykła zdobycz dla naszego kraju... Oni tak reklamują tylko swoich. Potem się to nagle ucięło. Nic o panu nie mówili i niechętnie odpowiadali, gdy ich pytano. Teraz znów, w ostatnim tygodniu, nagle zaczęli wygadywać na pana niestworzone rzeczy. To było dla mnie dowodem, że pan do bractwa nie należy. I natychmiast do pana przyszedłem.

Twardowskiego ujęła ta prostota i szczerść gospodarza. Chciał go zapytać, co o nim opowiadają, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Jeżeli pan pozwoli - rzekł gospodarz, wstając z miejsca - to dokończymy potem rozmowy. Teraz żona prosi nas na herbatę.

W malutkim, skromnie umeblowanym saloniku czekała na nich pani profesorowa, osoba wybitnie brzydka, prawdopodobnie w wieku męża, ale wyglądająca znacznie starszej od niego, nosząca na twarzy ślady wysiłku i wyczerpania, charakterystyczne dla kobiet intelektualnych.

Przedstawiwszy jej Twardowskiego, Piętka dodał:

- Moja żona doktoryzowała się z psychologii.

- Tośmy koledzy - rzekł z uśmiechem Twardowski. - Tylko ja się nie doktoryzowałem.

Z grzeczności zagadnął panią domu o wspólnym przedmiocie i przekonał się, że przestudiowała sumiennie co najmniej jeden podręcznik i wyznaje go prawowiernie.

Pani widocznie rada była ze spotkania człowieka, z którym mogła prowadzić „fachową” rozmowę, ale Twardowski się nudził i niecierpliwie czekał na dalszy ciąg wynurzeń profesora o grabarzach.

Słuchając pani, zdającej egzamin ze swojej wiedzy, zastanawiał się nad jednym

Zagadnieniem psychologicznym: co mogło skłonić takiego żywego i interesującego człowieka, jak Piętka, do ożenienia się z taką suchą, papierową kobietą, umiejacą powtarzać tylko to, czego nauczyła się na pamięć? Jedyne wyjaśnienie znalazł w tym, że pani profesorowa niewątpliwie pochodziła ze sfery bardziej kulturalnej, niż mąż, co musiało mu imponować. Zauważył sobie w duchu, że takie małżeństwo ma dobrą stronę: Piętka jest człowiekiem pełnym zapału do innych rzeczy może właśnie dlatego, że nie ma u siebie w domu nic, co by go od nich

odciągało. Jakimż przeciwnym biegunem jest Wanda, która doszła do przekonania, że jest głupia, a która jest najbardziej interesującą z kobiet!

Poważna herbata wreszcie się skończyła, i wrócili z Piętką do jego zaśmieconego gabinetu.

- Ma pan zupełną słuszność - rzekł, nawiązując przerwana rozmowę Twardowski. - Nie tylko nie jestem grabarzem, ale mam zaszczyt być trochę w wojnie z tym bractwem.

- To chyba od niedawna?

- Tak. Dopóki mnie nie poznali, liczyli, że do nich przystąpię.

- Teraz rozumiem! - zawołał rozjaśniony Piętka. - Mam nadzieję, że pan pójdzie z nami przeciw tym łajdakom.

- Może się sobie nawzajem przydamy - odrzekł Twardowski. - Niech mi pan przede wszystkim powie, co oni o mnie opowiadają.

- Paskudztwa, które trudno powtarzać.

- Tym bardziej mnie interesuje.

- Więc mam powtórzyć wszystko bez oszczędzania pana?

- Ma się rozumieć - ja wszystko wytrzymam.

- Wiec przede wszystkim jest pan powierzchownym blagierem, udającym uczonego, choć nic nie napisał. Dają nawet do zrozumienia, że ma pan trochę bzika. Półśłówkami bąkają, że coś było brzydkiego między panem a pańskim stryjem, że przyśpieszył pan jego śmierć nie wiadomo jakim sposobem, że coś niewyraźnego stało się z testamentem.

- Ho, ho! - zawołał Twardowski - to grubo. I cóż więcej?

- Ci, co bywają w salonach, opowiadają, że pan był niedawno u niejakich państwa Brzozowskich. Pani podobno jest pięknością. Skorzystał pan z nieobecności pana domu i tak się obcesowo zachował względem pani domu, że zadzwoniła na służbę i kazała pana za drzwi wyrzucić.

Twardowski słuchał wszystkiego z zimnym, szyderczym uśmiechem. Dowiedziawszy się zaś o swej klęsce w roli Don Juana, zerwał się z fotela, wykrzykując:

- A to bezczelna kanalia!

Piętka się przestraszył. Zaczął się tłumaczyć:

- Przepraszam, że to powtórzyłem...

- Ależ dziękuję panu, oddał mi pan prawdziwą usługę. To ja przepraszam pana za swój wybuch. Widzi pan, łatwiej wytrzymać oskarżenie o najpotworniejszą zbrodnię, niż ośmieszenie.

- Nasi ludzie - rzekł Piętka - niczemu nie wierzą, bo te kanalie dobrze znają.

Twardowski się zastanowił. Po chwili milczenia zapytał:

- Czy Kozieniecki należy do tych opowiadaczy?

- On także jest grabarzem, zdaje się, że od niedawna. Jak pan musiał zauważyć, to wielki elegant, on jest głównym źródłem plotek salonowych.

- A wiec historia o pani Brzozowskiej od niego pochodzi?

Piętka milcząco potwierdził.

- Ja się z nim rozmówię - zawołał Twardowski.

- Myśli go pan wyzwąć?

- Zobaczę. W każdym razie nie będzie więcej opowiadał.

Wstał, zabierając się do wyjścia.

- Proszę pana - rzekł Piętka - w swojej walce z grabarzami może pan liczyć na mnie i na moich przyjaciół. Pan mało zna nasze stosunki; chciałbym pana trochę o nich poinformować.

- Bardzo pana o to proszę. Niech pan sobie wybierze któryś z najbliższych wieczorów, kiedy pan jest wolny, to sobie dłużej pogadamy.

- Mogę pojutrze, od ósmej jestem wolny.

- Znakomicie. Niech pan zrobi mi te przyjemność i przyjdzie zjeść ze mną kolację.

Przed pożegnaniem zapytał jeszcze gospodarza:

- Nie wie pan, czy profesor Kozieniecki ma jutro wykład na uniwersytecie?

- Mogę zobaczyć.

Widocznie dobrze się orientował w chaosie książek i papierów, załęgających długi stół pod ścianą, bo rychło znalazł, czego szukał.

- Ma, od dziesiątej do jedenastej.

- Dziękuję panu.

Pożegnał się i zostawił gospodarza, zastanawiającego się nad tym, do czego ta wiadomość Twardowskiemu mogła być potrzebna.

Twardowski zaś na ulicy myślał o tym, że Kozieniecki musiał opowiedzieć historię o nim i pani Brzozowskiej pani Wandzie i to wprawiało go w coraz większą wściekłość na eleganckiego profesora.

Co dziewczyna mogła sobie pomyśleć!...

Rozdział XVI

Nazajutrz przed południem, kilka minut po jedenastej, Twardowski szedł Krakowskim Przedmieściem naprzeciw uniwersytetu, gdy na chodniku ukazał się profesor Kozieniecki, wracający do domu po skończonym wykładzie. Ujrawszy Twardowskiego, uklonił mu się obojętnie i próbował szybko go wyminąć, ale ten nagle podszedł do niego i, nie podając mu ręki, rzekł spokojnie:

- Panie profesorze, doszła do mnie pewna historia, która pan miał o mnie powiadać, a która mi ubliża i mnie ośmiesza. Utartym zwyczajem powinienem postąpić tak wobec pana, żeby mnie pan musiał wyzwać. Ponieważ lubię używać niezupełnie utartych sposobów, więc przede wszystkim chce z ust pańskich usłyszeć, skąd pan te historie wziął i co pana spowodowało do jej opowiadania.

Kozieniecki zbladł i zaczął jąkać:

- Ależ...

- Nie możemy - przerwał mu Twardowski - prowadzić tej rozmowy na ulicy. Żądam od pana, żeby pan wszedł ze mną do samochodu; pojedziemy do mnie i tam się rozmówimy. Nie wątpi pan, sądzę, że panu w moim domu nie grozi żaden zamach ani na życie, ani na cześć pańską.

Nie czekając odpowiedzi, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Kozieniecki, oszołomiony, wszedł bez protestu.

Przez drogę nie wymienili ani słowa.

- Niech pan siada - rzekł Twardowski, gdy się znaleźli w jego gabinecie. - Siedząc, rozmawia się spokojniej.

Powtórzył Kozienieckiemu to, co mu Piętka opowiedział o nim i o pani Brzozowskiej.

- Tę historię słyszałem od kogoś, komu ją pan opowiadał. Czy miał pan jakie osobiste powody do tego, żeby mnie kompromitować i ośmieszać?

Kozieniecki wiał się pod przeszywającym go spojrzeniem Twardowskiego. Nie był wszakże tchórzem i nie był pozbawiony poczucia godności osobistej. Na chwilę wyprostował się duchowo.

- Przyznaje - rzekł - że ją opowiadałem, bo ją uważałem za prawdziwą. Nie czyniłem tego z żadnych osobistych pobudek. Gotów jestem panu dać satysfakcję.

- Dobrze. Na jakiej podstawie uważał pan to za prawdę?

- Słyszałem tę rzecz od bardzo poważnego i szanownego człowieka, którego nazwiska, pozwoli pan, nie wymienię. Sam biorę na siebie wszelkie konsekwencje.

- Nie pytam pana o nazwisko tej osobistości, bo je znam. Opowiadał panu tę historię mecenas Culmer.

Kozieniecki podskoczył na fotelu z wyrazem przestachu na twarzy.

- Reakcja paniska na to nazwisko - mówił Twardowski tonem eksperymentującego psychologa - potwierdza, że się nie mylę. Powiem panu więcej : Culmer zalecił panu powtarzanie tej historii, a zalecenie to było dla pana rozkazem.

Kozieniecki zaczął bełkotać na pół przytomnie:

-Nie rozumiem pana... Zalecenie... rozkaz... Skąd pan to bierze?..

Twardowski wytrzymał go tak przez dłuższą chwilę. Wreszcie z całym spokojem,

wybijając mocno wyraz po wyrazie, rzekł:

- Historia ta jest zmyślona z celem szkodzenia mi, a zmyślił ją Culmer, który jest jednym z najnikczemniejszych, chodzących po ziemi łotrów.

Kozieniecki się zerwał.

- Panie, to człowiek otoczony powszechnym szacunkiem.

Twardowski uspokoił go gestem ręki.

- Niech pan siada. Proszę nie zapominać, że jest pan względem mnie winowajcą

i żeśmy jeszcze nie załatwili rachunku między sobą.

Kozieniecki usiadł z miną człowieka, który dalby wszystko, żeby się znaleźć w tej chwili na innym miejscu.

- Otoczony powszechnym szacunkiem - cedził Twardowski. -Tym gorzej dla tych, którzy go szanują. Panu niewolno inaczej mówić, bo to pański zwierzchnik.

Kozieniecki, blady, patrzył, jakby się nagle przed jego oczyma coś zawałiło.

- Jaki zwierzchnik?.. - wyszeptał.

- Pomówimy o tym za chwilę. Tymczasem zatrzymamy się jeszcze przy panu

Culmerze. Całe życie tego nikczemnika jest jednym kłamstwem. Kłamię zasady,

kłamię swe uczucia dla ludzi, kłamię swe pochodzenie...

- Pochodzenie?...

- Skąd się według pana wziął pan Culmer?

- Culmerowie są rodziną polską pochodzenia angielskiego.

- Nie, panie, to są Żydzi polscy. Nazwisko ich brzmi Kulmer i pochodzi od Chełmna na Pomorzu. Jego ojciec ochrzcił się na kalwinizm i był niezawodnie takim samym łotrem, jak on.

Kozieniecki szeroko otworzył usta.

- Ja się teraz zajmuje - ciągnął dalej Twardowski - studiami nad życiem pana Culmera. Mam do tego powody rodzinne. I nie spocznię, dopóki tej jadowitej gadziny nie zgniotę. On walczy ze mną oszczerstwem, bronią nikczemnego tchórza i pana między innymi w tej walce użył za narzędzie. Interesuje mnie tylko to, czy pan był narzędziem świadomym.

- Zapewniam pana, że gdybym nie wierzył w te historię, nikomu bym jej nie powtórzył.

- Nie jest mi miło, że pan w nią uwierzył, ale tak pan lepiej wygląda. Pomówimy teraz o panu.

Kozieniecki milczał. Zdenerwowanie jego rosnęło. Twardowski mówił spokojnie:

- Słyszałem, że pan pochodzi z uczciwej i kulturalnej rodziny polskiej. Jest pan człowiekiem inteligentnym, zdolnym, niezawodnie pracowitym, o czym świadczy suma pańskiej wiedzy; pomimo młodego wieku już się pan zdążył wybić naukowo. To, że wybrał pan karierę naukową, świadczyło, że miał pan wyższe aspiracje duchowe i skromne wymagania od życia. Odkąd wszakże zjawił się pan na widnokręgu uniwersyteckim, znalazł się ktoś, kto podpatrzył w panu pewien pociąg do komfortu, do wykwintnego otoczenia, no i... pewien snobizm. Zauważył, że można rozbudzić w panu daleko idące w tym kierunku ambicje, ażeby z tych ambicji zrobić pasek, na którym można będzie pana poprowadzić. Tym kimś był, zdaje się starszy pański kolega, Topoliński. Wykazał panu, że z pańskimi zdolnościami można być czymś więcej, niż profesorem, żyć na wyższym o wiele poziomie, na żyje uczonego, a później ofiarował się panu otworzyć drogę do tego lepszego życia. Drogą tą było wejście do potężnej organizacji, istniejącej, jak mówił, na

całym świecie, rządzącej wszędzie, kierującej wszystkim. Z tą organizacją dochodzi się do wszystkiego, bez niej do niczego. Prawda, powiedział to panu niemal tymi samymi słowami?..

Kozieniecki milczał.

- Pan przez długi czas nie mógł się zdecydować, jakiś instynkt pana powstrzymywał, bał się pan utracić swą niezależność. chciał pan pozostać panem samego siebie, zadawał pan sobie pytanie, czy nie stanie pan w sprzeczności ze swym kodeksem moralnym - który pan miał. może niezbyt głęboki, ale bardzo wyraźny - czy wolno to panu zrobić jako Polakowi. Wreszcie uspokoiono pańskie skrupuły, powiedziano panu o szlachetnych celach organizacji. Pokusy zaś były wielkie. Niedawno się pan zdecydował i zaszedł wielki przewrót w pańskim życiu.

Kozieniecki ciągle milczał.

- Przeszedł pan wstępną operację, w której było coś upokarzającego, poniżającego, ale wmówiono panu, że przez poniżenie idzie się do wywyższenia. Raziły pana formy, ceremonie, śmieszły z początku zabawne stroje rytualne, ale nauczono pana wiary w symbole i wmówiono, że to wszystko ma głębokie znaczenie, że jest droga do wyższej mądrości, niedostępnej dla zwykłych ludzi. Zaczął się pan czuć innym, wątpię, czy lepszym człowiekiem, niż pan był i z tym się pan pogodził. Przez pewien czas czuł pan coś jakby żał za utraconą wolnością, jakby wyrzuty sumienia, że się pan czemuś sprzeniewierzył, kogoś zdradził... To wszystko udało się zgłuszyć przez powtarzanie sobie, że jest was tylu i tak wybitnych ludzi, przez stwierdzenie, że się panu powodzi i że idzie pan naprzód w życiu, przez wmawianie w siebie, że służy pan wielkim celom... Ale pan to tylko wmawia w siebie, bo jako człowiek inteligentny rozumie pan, że te cele, które panu ukazano, to tylko środki do czegoś innego lub dekoracja, zasłaniająca cele właściwe.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili wziął Kozienieckiego za ramię, podprowadził go do okna i wskazał na ulice.

- Widzi pan ten wóz parokonny, naładowany pakami towarów? Wy, członkowie tej organizacji, nawet zajmujący w niej dość wysokie stopnie, wiecie tyle o właściwych jej celach i o tym, kto nią kieruje, ile te konie wiedza o zawartości pak, leżących na wozie, oraz o nazwisku i pochodzeniu ich właściciela.

Usiedli obaj z powrotem, Kozieniecki przestał się denerwować: dał się biernie prowadzić, siedział nieruchomo, z oczyma w słu, zdrętwiały.

- Co najgorsze - ciągnął Twardowski - że zdajecie sobie z tego sprawę, przynajmniej ci, którzy umieją trochę myśleć. Ale nie zadajecie samym sobie pytania, czemu i komu służycie, bo się boicie odpowiedzi. Ja panu tej odpowiedzi jeszcze dziś

nie dam, bo jestem dopiero na drodze do pełnego jej sformułowania. Tylko postawię panu jedno pytanie. Macie swobodę poglądów na wiele rzeczy; macie prawo wolnej krytyki w wielu sprawach. Jest zaś jeden przedmiot, do którego z krytyką przystępować nie wolno, jedna dziedzina, w której nie wolno stwierdzać najoczywistszych faktów. Pan dobrze wie, że mówię o Żydach. To najlepszy dowód, że oni was prowadzą i wami rządzą. Jesteście ich zwierzętami domowymi, wykonującymi ich wolę, pracującymi dla nich, strzegącymi, żeby ich bezceństwa nie tylko pozostawały bezkarne, ale były pokrywane milczeniem,

o dalszych zaś jej celach wiecie tyle, co zwierzęta domowe o celach swego pana. I jak one, jesteście przez swych panów hipnotyzowani.

Kozieniecki ciągle milczał, ciągle pozostawał w odrętwieniu. W tej chwili wyglądał tak, jakby był zahipnotyzowany przez Twardowskiego.

- Organizacja wasza przyciąga was do siebie rozmaitymi sposobami. Jednym ukazuje miraż wielkiej kariery, korzyści materialnych, zaspokojenia fałszywych najczęściej ambicji; innych szantażuje tym, że wie o ich grzechach, trwożliwie przez nich ukrywanych - ci są najpowolniejszymi, najbardziej poszukiwanymi przez nią narzędziami; innych, najgłupszych, bierze na swoje idee, na swoje, rzekomo szlachetne cele, pod którymi powierzchowne umysły nie widza istoty rzeczy; innym - a tych jest niemało -zapewnia pomoc w zmiżdżeniu znieawidzonych przeciwników. Najcenniejszymi,

przeznaczonymi do głównych ról jej członkami, są ci, którzy z urodzenia i pochodzenia są dla niej stworzeni, ludzie nie związani węzłami moralnymi z narodem, wśród którego żyją i do którego się przyznają. Ci właśnie stanowią jej duszę - oni jedni mają pełne zaufanie władzy.

- Wstępując do niej dla pozyskania jej poparcia, nie przewidujecie, czym wam każą za to poparcie płacić, jaką służbę będziecie musieli pełnić. Wciągają was w nią powoli, stopniowo, w miarę jak tępieje wasz zmysł moralny, jak zatracacie szacunek dla samych siebie. Oto, przykład pański. Zaczęto od tego, że zalecano panu opowiadanie zabawnej historyjki o panu Twardowskim i pani Brzozowskiej. Pan z zamiłowaniem nie jest plotkarzem, ale ja pan zaczął opowiadać, żeby zrobić przyjemność panu Culmerowi. Przecież to musi być prawda, skoro pochodzi od pana Culmera. Jutro zażądają od pana rzeczy gorszej; pojutrze będzie pan znieślawiał najuczciwszego człowieka, wiedząc, że pan szerzy fałsz o nim: usprawiedliwiać się pan będzie przed sobą tym, że to się robi dla wyższych celów. Ten człowiek sam sobie winien, że stanął na drodze pańskiej organizacji. Później sumienie w panu tak zamilknie, że już usprawiedliwienia nie będą potrzebne. Wreszcie, z łatwością będzie się pan dawał używać do służby przeciw własnej

ojczyźnie ze zguba wszystkim, co pan przedtem czcił i kochał.

Na twarzy Kozienieckiego zaczął wypełzać wyraz ostrego bólu. Twardowski to widział, ale jak zimny chirurg, bez wahania prowadził swą operację do końca.

- Przyglądałem się panu od pierwszej chwili - mówił dalej. - Pan nie jest człowiekiem bardzo uczuciowym, nie jest pan idealista, myśli pan przede wszystkim o sobie, ale jest pan typem uczciwego człowieka w stylu zachodnim, człowieka, który nie robi rzeczy niskich, bo siebie szanuje. I dzięki tradycjom rodzinnym jest pan dobrym Polakiem. Chwila obecna jest w życiu i w duszy pańskiej przełomowa. Człowiek pańskiego typu ma potrzebę pozostawania w zgodzie z sobą samym, chce patrzeć śmiało sobie samemu w oczy. Dziś ta potrzeba zaczyna w panu słabnąć i będzie zanikała coraz bardziej, coraz rzadziej będzie pan pytał własne sumienie o sąd o pańskich postępkach. W końcu sumienie zamilknie, zatraci pan szacunek dla samego siebie - wystarczy, że ludzie będą pana szanowali... jak Culmera.

Zamilkł. Kozieniecki siedział blady, z bolesnym skurczem w twarzy, oczy jego przygasłe patrzyły w przestrzeń, jakby w przyszłość, którą mu Twardowski bezlitośnie malował. Nareszcie wyszeptał:

- Dlaczego pan to wszystko mówi?

- Bo chce pana uratować. Nie dla pana to robie, ale dla społeczeństwa, które może mieć z pana duży pożytek.

- Już za późno.

- Głupstwo. Zasugerowano pana, że nie ma drogi powrotnej, że na tych, co

jej próbują, wszechpotężna organizacja ma straszne kary. Może to kiedyś i było. Dziś brak zębów do gryzienia - walczą językiem. Walczą przede wszystkim oszczerstwami, orężem tchórzów. Nie mówię, że pana nic przykrego nie spotka, ale stawka jest zbyt wielka, żeby się cofać przed przykrościami. Ja pana, zresztą, nie skłaniam do walki przeciw nim; pan nie ma do tego temperamentu. Wystarczy, żeby się pan wyzwolił. Trzeba ich zawiadomić, że nie ma pan zamiaru iść przeciw nim, ale usuwa się pan od czynnego udziału w organizacji. Uznają pana za śpiącego brata. Niejeden to zrobił i pozostawili go w spokoju.

- Nie wiedziałem o tym.

Kozieniecki milczał przez chwilę, wreszcie rzekł głosem mocnym, który aż zadziwił Twardowskiego:

- Ja to zrobię!

- Czy to pańskie nieodwołalne postanowienie?

- Tak. Daje na to słowo honoru.

Twardowski podał mu rękę.

- Panie profesorze - rzekł - niech mi pan wierzy, iż wobec tego wyniku naszej rozmowy moja sprawa osobista jest w oczach moich drobiazgiem. Jednakże wymaga ona załatwienia. Culmer panu nakłamał. Było coś, ale coś całkiem przeciwnego, co nie mnie kompromituje i ośmiesza, ale Culmera i jego córkę. Miałbym prawo to panu opowiedzieć, ale mam jakiś nałogowy wstręt do plotek o kobietach, nawet gdy są Żydówkami. Żądam od pana tylko jednej satysfakcji, mianowicie, żeby pan ludziom, do których to kłamstwo Culmera przez usta pańskie doszło, powiedział, że nie ma w nim ani słowa prawdy, że został pan okłamany.

- Zrobię to niezwłocznie.

- Nie wątpię. Wiem, że mam do czynienia z człowiekiem honoru.

Obaj powstali z miejsc.

- Jeszcze jedno - rzekł Twardowski - Zrozumie mnie pan, gdy powiem, że przede wszystkim mi chodzi o kobiety. Niestety, wszyscy na ich opinie jesteśmy wrażliwi. Nie pytam pana, czy pan opowiedział to jakiejś kobiecie. Ale jeżeli tak było, niech pan prostowanie od niej zacznie.

Kozieniecki zmieszał się, przestał patrzeć Twardowskiemu w oczy. Ale nastrój szczerości, który między nimi zapanował, wziął górę.

- Zaraz stąd - rzekł zakłopotany - idę do państwa Czarnkowskich. bo panna Wanda jest jedyną kobietą, która to słyszała.

Twardowski miał w tej chwili ochotę zmasakrować eleganckiego profesora. Opanował się jednak i przyjaźnie się pożegnali.

Rozdział XVII

Wkrótce po wyjściu Koziemieckiego, podczas śniadania. służący wręczył Twardowskiemu liścik od pani Czarnkowskiej. Prosiła, żeby zechciał wpaść do niej – będzie w domu całe popołudnie.

Poszedł koło czwartej. Przyjęła go w swoim buduaru, ubrana w ciepły szlafroczek. Miała minę bardziej zmartwiona niż zwykle.

- Przepraszam pana - rzekła na wstępie - że tak go przyjmuje, ale nie czuje się dziś dobrze. Nie jestem chora, ale jakoś mi zimno, pomimo że przecież mieszkanie

jest dobrze ogrzane.

-Panie! - zawołała. – Przecież z panem zaczyna się dzieć to samo, co z biednym

Alfredem. Co dzień ludzie mi znoszą obrzydliwe, nikczemne plotki. Czy i do pana one dochodzą?.

- O tak! - odparł wesoło Twardowski. – Dowiedziałem się, że błagier, nieuk, trochę wariat, że sfalszowałem testament stryja, że go zamordowałem.

- Widzę, że pan sam jeszcze z przyjemnością coś do nich dodaje.

- Niewiele. Najgorsze, że oskarżają mnie o zamach na granitową cnotę pani Brzozowskiej.

Uśmiechnęła się boleśnie.

- Wczoraj mi próbowano wmówić, że pan jest agentem jakiegoś obcego mocarstwa.

- A, i to jeszcze? Tego dotychczas nie słyszałem.

- Panie Zbigniewie, jak ja się tego wszystkiego boję. Kłócę się z ludźmi o pana,

ale cóż ja jedna kobieta znaczę!...

- Niech się pani nie boi. Ja się nie dam tak zniszczyć, jak mój stryj nieszczęśliwy.

To, że pani staje w mojej obronie, wielką ma dla mnie wartość. Myślę wszakże nie o obronie, ale o ataku. Ja muszę zmiażdżyć tego łotra Culmera.

- Jakież on ma powód do prześladowania pana?

- Tego jeszcze pani nie mogę powiedzieć. Muszę przedtem sobie niektóre rzeczy wyjaśnić.

Zatrzymała go przeszło godzinę, wypyując o jego sprawy i zamiary.

Żegnając się z nią, Twardowski rzekł:

- Muszę zredukować swe życie towarzyskie; raz dlatego, że przestaje ono być

Przyjemnością, gdy wiem, że za moimi plecami ludzie sobie plotki o mnie opowiadają

i gdy w twarzach ich się czyta, że tym plotkom wierzą; po wtóre, muszę rozwinąć stosunki w sferach, w których znajdę sojuszników do czekającej mnie walki. Wybacz mi też pani, że przestanę bywać na czwartkach u państwa. Pozwoli mi pani wszakże zaglądać, gdy panie są same...

- Ja bym me mogła już żyć bez częstego widywania pana. Pan mnie łączy z tym

Co mi jest najdroższe - z pamięcią Alfreda. Zresztą, będziemy razem walczyli i musimy

często komunikować. Wandeczka także gniewa się, gdy pan długo, się nie pokazuje.

Twardowski opuścił ją zadowolony nade wszystko z gniewu Wandeczki.

Gdy przechodził przez salon, zastał w nim pannę Czarnkowską.

Wpadła na niego jakąś rozbawiona, roześmiana, ale spod tego niezwykłego humoru przeglądało pewne zdenerwowanie.

- Może pan chwile pozostać? - zapytała.

- Z przyjemnością.

Usiadła w fotelu i wskazała mu miejsce naprzeciw siebie. Popatrzyła na niego badawczo i nagle rzuciła nieoczekiwanie pytanie:

- Panie, kto pan jest?

Roześmiał się wesoło.

- Jestem Zbigniew Twardowski.

- To, to ja wiem.

- Chodzi pani o zawód, o stanowisko w życiu? Jestem dość zamożnym, żeby nie pracować. Wobec tego bawię się na swój sposób: uprawiam po amatorsku psychologię, obserwuje ludzi i wysnuwam wnioski, które bywają interesujące.

- I to mniej więcej wiem. Wprawdzie mówiono o panu, że pan jest bankrutem, ale ja temu nie uwierzyłam. Nie byłby pan taki pewny siebie.

- Wiec coś więcej chce pani wiedzieć?

- Dużo, bardzo dużo...

- Słucham panią.

- Kiedy pan się zjawił w Warszawie, zaczęto mówić o panu, jak o jakimś magu, rozwodzono się nad pańską wiedzą, nad pańską mądrością... Teraz znów mówią coś całkiem przeciwnego. Wygadują na pana niestworzone rzeczy. Trudno uwierzyć, żeby tyle przewrotności mogło się zmieścić w jednym człowieku.

- Aż tak! - zawołał Twardowski z komicznym przerażeniem.

- Wie pan, myślałam sobie, że gdyby jakaś kobieta była w panu zakochana, mogłaby biedaczka zwariować.

- Całe szczęście, że takiej nie ma.

- Bo, proszę pana, z początku był pan strasznie na serio i strasznie surowy. Nikt nigdy z takim spokojem mi nie dowiódł, że jestem głupia i zarozumiała. Nie spotkałam człowieka, który by tak sobie ze mnie nic nie robił. Nagle widzę pana flirtującego na zabój z panią Brzozowska, która jest bardzo niebezpieczną kobietą.

- Naprawdę?... Nie domyślałem się tego.

- Potem ktoś mi opowiada skandaliczna historie o tym, jak pani Brzozowska pana upokorzyła. Pan upokorzony...To bardzo zabawne! Potem ten ktoś przybiega zdyszany i błaga, żeby tej historii nie wierzyć, że nie ma w niej ani źdźbła prawdy. No, niech pan powie, czy to nie można zwariować?..

- Gdyby pani była we mnie zakochana.

- E..., z panem nie można poważnie rozmawiać.

- Można. Niech pani powie; co panią w tym wszystkim uderza.

-Pytam, kim pan jest, kim jest ten człowiek, którym się tak wszyscy interesują, o którym te same osoby mówią takie sprzeczne rzeczy. Musi pan mieć szczególny dar budzenia w ludziach szacunku i uznania, innym razem ślepej nienawiści.

- To nie dar, to sytuacja.

- Ja sama na sobie się przekonałam, że pan ma dar doprowadzania ludzi do wściekłości. I wtedy, kiedy mi pan publicznie mówił, że jestem głupia...

Twardowski chciał protestować. Nie dopuściła go do słowa.

- Niech się pan nie zapiera, mówił pan. Wtedy właśnie, powiadam, jak na złość. Ludzie zaczęli wysławiać pańską mądrość. No, i niech pan powie, jak ja wyglądałam?... Czy pana dziwi, że się wściekła ze złości?

Mówiła z udana powaga i zakończyła wybuchem śmiechu.

- Ale ja jestem święta dziewczyna. Wszystko to panu zapomniałam i teraz kłócę się z głupcami, którzy na pana wygadują różne obrzydliwości.

Twardowski był uszczęśliwiony, że ma takiego obrońcę.

- A jak pani przyjęła historie o mnie i o pani Brzozowskiej?

- Byłam wściekła. Kozienieckiemu powiedziałam, że jest głupcem. Ach!...

Ugryzła się w język.

`- Nie popełniła pani żadnej niedyskrecji. On sam mi się przyznał, że pani to opowiadał.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- On nie jest taki zły - rzekł Twardowski. - Okłamał go ktoś, komu wierzył. I gdy się dowiedział, że to kłamstwo, zaraz przyszedł sprostować. Ale pani temu od początku nie wierzyła?...

- Powiedziałam mu, że pani Brzozowska mogłaby się na pana obrazić tylko wtedy, gdyby pan był za mało agresywny.

Tę niemoralną opinię panna Wanda wygłosiła z całym spokojem. Natychmiast wszakże dodała z wyrazem surowej powagi:

- Ale o to nie posądziłby pana nikt, kto widział, jak pan z nią flirtował u nas na czwartku.

Zamilkła na chwilę, po czym rzuciła:

- Po co pan chodził do niej na obiad?

Gdyby ktoś inny zadał mu to niedyskretne pytanie, czułby się dotknięty. W tym wypadku ucieszyło go, że dziewczyna przywłaszcza sobie prawo wdawania się w jego stosunek do innych kobiet.

Popatrzył na nią uśmiechnięty i rzekł:

- Z ciekawości.

- Piękna ciekawość!

- Nikomu bym nie powiedział, o co mi chodziło. Ale pani powiem, bo jestem pani wdzięczny, że to panią interesuje.

Dziewczyna się zarumieniła.

- Rozmawiając z panią Brzozowska u państwa w salonie, instynktownie odczułem, że szukała ona znajomości ze mną z jakimś ukrytym zamiarem, poważniejszym, niż to zwykle bywa u kobiet tego rodzaju. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest ona córką Culmera, największego mojego wroga, autora tych wszystkich oszczerstw, które o mnie krążą. Miałem jednak poczucie, że w jej zamiarach kryje się coś niebezpiecznego dla mnie...

Panna Wanda nagle spoważniała.

- Culmer... pański największy wróg... autor plotek... Gdyby to nie pan mówił, trudno byłoby uwierzyć. Choć ja go nie cierpię.

- Ma pani dobry instynkt To nikczemny Żyd.

- Zawsze czułam w nim Żyda. Dość spojrzeć mu w oczy. Pani Brzozowska ma takie same... Ale dlaczego on jest pańskim wrogiem?

. To długa historia, Teraz jeszcze nie można o tym mówić i tak za dużo powiedziałem. Ale pani z nikim o tym nie będzie mówiła, dobrze?

- Z nikim. Będziemy mieli wspólna tajemnice. Jak to dobrze!...

Była uradowana i dumna z zaufania, którym ja Twardowski obdarzał. Słuchała z napięciem.

- Culmer - mówił Twardowski - używa do swych celów rozmaitych narzędzi, także swojej córki.

- To wstrętne!

- Nieraz mi mówiono, że jestem urodzonym detektywem. Mój wąż mnie nie omylił. Pani Brzozowska miała mnie ujarzmić z polecenia swego papy i dla jego celów, Dowiedziałem się o tym dzięki temu, że poszedłem do niej na obiad.

Twardowski sam sobie się dziwił, że opowiada tyle młodej dziewczynie. Pomyślał nawet, że to trochę śmieszne.

Dziewczyna patrzyła na niego jak w obraz.

- Więc pan naprawdę nie uważa mnie za głupiego dzieciaka, kiedy mi pan to wszystko mówi! Ach, jaka ja jestem szczęśliwa! Ale nie będzie pan tego żałował. Całą swoją istotą będę walczyła o pana przeciw tym wszystkim głupcom, których jeden nikczemnik szczuje. Zobacz pan, że ja jestem silną kobietą!

Oczy jej paliły się. Twardowski z zachwytem patrzył na nią. Wyciągnął do niej obie ręce.

- I pani chce być moją towarzyszką w walce?...

- Najwierniejszą. Nie pytam, o co pan walczy - wszystko mi jedno. Nie wiem, dlaczego, ale wierzę w pana, wierzę, że wszystko, co pan robi, jest dobre.

Trzymając się za ręce, patrzyli sobie w oczy. Ta niema rozmowa trwała długo...

Dziewczyna spuściła oczy i bezwładnie zaczęła opadać w fotel, na którym siedziała. Z wysiłkiem cofnęła swe ręce...

Twardowski wstał. Głosem stłumionym rzekł:

- Teraz nie wiem, czym pani jest dla mnie.

- Chciałam, żeby pan wiedział.

Podniósł do ust jej bezwładną rękę i pocałował.

Wyszedł, zostawiając ją w fotelu, z którego nie miała siły się podnieść. Nie wiedział, dlaczego w tej chwili opuścił salon państwa Czarnkowskich i zostawił w nim dziewczynę, siedzącą bez ruchu. Dopiero na ulicy oprzytomniał i zaczął się zastanawiać. Gdy trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy, poczuł, że ma ją w swej władzy. I że może z nią zrobić wszystko, co zechce. Ona to poczuła także i lęk ją ogarnął i wtedy odezwało się w nim poczucie odpowiedzialności. Przecież wobec niego ona jest dzieckiem. Bezpośrednio po rozmowie z panią Czarnkowska, która mu okazała tyle przyjaźni, tyle zaufania, nie mógł przestać panować nad sobą wobec Wandy. A jednak ta dziewczyna musi do niego należeć. Bez niej nie ma życia...

Panna czarnkowska została długo bez ruchu w pustym salonie. Myślała o tym, co zaszło przed chwilą. Była wdzięczna Twardowskiemu, że poszedł; pierwszy raz w swym życiu w rozmowie z mężczyzną przelękła się. Czego?...Tego, że była wobec niego bezsilna. On to zrozumiał i odszedł. Powtarzała sobie uszczęśliwiona to, co na końcu powiedział. Słyszała to z jego ust, a w jego ustach te słowa znaczą więcej, niż najgorętsze wyznanie. Są już ze sobą związani - nikt ich nie rozdzieli...

Jak do tego doszło?.. Przypomniała sobie całą rozmowę od początku. Mówili o nim, potem o pani Brzozowskiej. W tej chwili już nie była zazdrosna o panią Brzozowska. Mówił o niej z pogardą. Co to są te intrygi, które go otaczają? Dlaczego Culmer tak walczy z nim? Może mu istotnie grozi niebezpieczeństwo?...

Strach ją ogarnął.

Ale nie - on jest za silny, za mądry, żeby mu Culmer mógł dać radę... Czym, taki Culmer go przewyższa? Prawda. jest bogaty. a on, zdaje się, nie bardzo. Ale jak ona wyjdzie za niego i da mu swój majątek, to będzie bogatszy od Culmera.

W tej chwili panna Czarnkowska postanowiła, że musi zostać żoną Twardowskiego.

Przecież nie mogłaby być niczyją inną żoną. Nie wyobraża sobie tego nawet. To jedyny mężczyzna, któremu by się mogła oddać całkowicie. Czymże jest w porównaniu z nim taki Kozieniecki, czy jakikolwiek inny!...

Panna Wanda Czarnkowska pochodziła z rasy kobiet, które górowały nad swymi mężami temperamentem, energią i nawet bystrością umysłu. Były, zdaje się, z tego powodu na ogół nieszczęśliwe. Nie pamiętała swej przedwcześnie zmarłej matki, do której, jak wszyscy mówili, była ogromnie podobna i fizycznie, i moralnie. Ojciec jej ożenił się po raz drugi z siostrą jej matki; do niej Wanda bardzo się przywiązała. Była to kobieta na ogół zgaszona, a jednak Wanda na każdym kroku odczuwała jej wyższość nad ojcem. Kochała ojca, ale przybraną matkę brała o wiele poważniej. Od dziecka uczyła się patrzeć na małżeństwo jak na instytucję, w której kobieta ma górę. Uważała to za całkiem naturalne. Dorastając, zaczęła myśleć o tym, że i ją czeka małżeństwo. Zaczęła się przyglądać chłopakom ze swej sfery, z bogatej szlachty, ciężającej ku arystokracji. Lubiała ich, ale patrzyła na nich z góry. Wydawali jej się niemądry i jacyś jakby potrzebujący opieki. Podlotkiem będąc, zaczęła się w jednym z nich podkochiwać. Dużo że sobą przestawali, rozmawiali wiele. Była przekonana, że to jej przyszły mąż. Był ładnym chłopakiem, zgrabnym, dobrze jeździł konno, świetnie strzelał, w tenisie był pierwszy. Wiedziała, że jest głupszy od niej, ale to jej nie martwiło. Przecież i mamusia jest chyba mądrzejsza od papy. Nie zniżała się wszakże do niego, ale przeciwnie, coraz więcej okazywała chęci do kształcenia się. Ukończywszy gimnazjum i zdawszy maturę, zawiadomiła ojca, że chce pobierać lekcje historii, literatury i filozofii. Wziął jej profesorów, którzy ją uczyli i zalecali jej lekturę. Nie martwiło jej zgoła, że te rzeczy wcale nie interesują chłopaka, którego uważała za swego przyszłego męża. Ten także spoważniał, studiował prawo, co prawda niezbyt pilnie i interesował się gospodarstwem, o którym lubił rozmawiać. Mówiła sobie, że mężczyźni są od prowadzenia interesów i nie mogą się zajmować filozofią.

Tymczasem ukazał się na jej widnokręgu Kozieniecki. Wprowadził go do ich domu mecenas Culmer. Młody profesor, że znanym już nazwiskiem, przystojny, trochę sportowiec, elegancki, bardziej europejski od innych młodych ludzi, których dotychczas znała, olśnił ją swoją wiedzą i inteligencją, ujął tym, że odkrył w niej inteligencję, zachwycał się nią i interesował się tym, co ona myśli o rozmaitych rzeczach. Zaczęła przepadać za rozmowami z eleganckim profesorem. Jednocześnie towarzystwo jej przyszłego, jak sobie wyobrażała, męża zaczęło ją coraz bardziej nudzić. Miała też pretensje do niego za lekceważenie profesora i nieprzyjazny stosunek do niego. W końcu przemówili się o Kozienieckiego i przestali się widywać. Bez żalu wykreśliła go ze swego życia.

Kozieniecki także wyglądał na jej mężczyznę, potrzebującego opieki. I to uznała za naturalne. Najpierw, każdy mężczyzna potrzebuje opieki, a następnie taki uczony musi jej potrzebować więcej od innych. Zaczęła wyobrażać siebie jako żonę Kozienieckiego. Taki inteligentny, taki interesujący mąż, a przy tym człowiek taki wykwinny. Nie jest zamożny jak tamci, ale ona przecież ma majątek. Profesor widocznie ubiegał się o jej względy, co jej pochlebiało. Oswajała się coraz bardziej z myślą, że będzie panią Kozieniecka.

Gdy profesor przyprowadził do ich domu Twardowskiego, o którym zdążyła już poprzednio usłyszeć, nie przyszło jej nawet do głowy spojrzeć na nową znajomość jako na młodego mężczyznę. Od pierwszego wejrzenia oceniła go jako suchego pedanta. Pedantów zaś nie cierpiała. Niebawem zdziwił ją i zgniwał swoim prowokującym sposobem prowadzenia rozmowy. Po raz pierwszy spotkała mężczyznę, który nie mówił jej komplementów, a natomiast mówił impertynencje;

który najwidoczniej sobie z niej nic nie robił. Postanowiła go ukarać, upokorzyć. To jej się wszakże nie udało. Spostrzegła, że za wiele o nim myśli, i zła była na siebie. Nie rozumiała, dlaczego zależy jej na tym, żeby tego wstrętnego zarozumialca przekonać, że nie jest taka głupia, jak on myśli, jeszcze bardziej była niezadowolona z siebie, że zawsze, gdy sobie postanowiła potraktować go z góry, nie wytrzymała w postanowieniu i była wobec niego zbyt pokorna. Co on ma w sobie, co do tej pokory zmusza?. Gdy po raz pierwszy w rozmowie z nim odczuła jakąś "miętkość, jakieś dobre uczucie dla niej w jego głosie, ogarnęła ją niezrozumiała radość. Wybaczyła mu od razu wszystkie impertynencje. Dużo potem zastanawiała się, dlaczego ją to tak ucieszyło. Tyle jej mężczyźni mówią rzeczy przyjemnych, a ona niewiele sobie z tego robi. Tymczasem jedno dobre słowo Twardowskiego... Bo w jego głosie było coś, co przenikało głęboko w duszę.

Zaczęła go porównywać z innymi mężczyznami. Powiedziała sobie, że porównywać nie można. On jest zupełnie czymś innym, co zaprzecza wszystkim jej dotychczasowym pojęciom o mężczyznach. Jego można nie nawidzieć, ale lekceważyć go nie można. Czy ona go nienawidzi?... Z początku zdawało jej się, że tak, ale teraz?.. Stwierdziła, że go się boi i zdziwiła się, że to jej nie sprawia przykrości. Odezwął się w niej jakiś prainstynkt, który sprawiał, że lęk wobec mężczyzny łączył się z jakimś prawie rozkosznym uczuciem. W jej myślach odbywał się szybko wielki przewrót. Przestało jej robić przyjemność stwierdzenie własnej wyższości nad mężczyznami, panowanie nad nimi, odbieranie od nich hołdów. Takich mężczyzn naprawdę kochać nie można. Ten, którego się kocha, musi być silny, mądry, musi umieć panować - wtedy można się mu oddać całkowicie i znaleźć w tym najwyższe szczęście. Powiedziała sobie, że mogłaby kochać tylko takiego mężczyznę jak Twardowski, a w końcu przyznała się przed sobą, iż dałaby wszystko za to, żeby on ją kochał, żeby chciał ją zdobyć i w częstych marzeniach widziała siebie w jego objęciach.

Teraz już wie, że do niego należy i że on chce tego. To jest jej przeznaczenie i to się stanie.

Siedziała długo w ciemnym salonie, bo służący, zajrzawszy po wyjściu Twardowskiego i nie dostrzegłszy jej, zagłębionej w fotelu, światło przykręcił.

Obudziła się ze swych myśli, gdy drzwi się otworzyły i lampy zaświeciły.

Weszła pani Czarnkowska.

- Wandeczko, szukam cię po całym domu. Co ty tu robisz po ciemku?

Panna Wanda zmieszana się, jak przestępca złapany na gorącym uczynku.

- Tak się zamyśliłam...

- Że aż zdrzemnęłaś się, co?... Przecież ty tu pewnie siedzisz od wyjścia pana Twardowskiego. Służba mi mówiła, że długo z nim rozmawiałaś.

- Chciałam mu powiedzieć, że my nie wierzymy tym wszystkim obrzydliwościom, które na niego wygadują.

- Dobrze, dziecko, zrobiłaś. Dzieje mu się straszna krzywda. A to człowiek prawy, taki dzielny i taki kochany! Będziemy walczyły w jego obronie, prawda?

- Tak, mamusiu. Powiedziałam mu to.

Pani Czarnkowska wzięła w obie dłonie głowę przybranej córki i ucałowała ją gorąco w czoło. W oczach jej zaświeciły łzy, które Wandę ucieszyły.

Obie były sobie nawzajem wdzięczne, jedna nie wiedząc o powodach drugiej.

Rozdział XVIII

Na każdym kroku Twardowski przekonywał się, że Culmer pracuje ze skutkiem. Nazajutrz po rozmowie z Wanda wstąpił rano do banku, w którym miał do odebrania pieniądze, przekazane z Paryża. Urzędnik, który go załatwiał, rozmawiał z nim z sucha, aż prawie z obrażającą grzecznością, gdy inni, szepcząc coś ostrożnie na niego wskazywali. Pewnie mówili sobie, że odbiera pieniądze od obcego mocarstwa, którego jest agentem.

Spotkał na ulicy młodzieńca, którego poznał u Czarnkowskich. Ten uparcie patrzył w inną stronę, żeby mu się nie uklonić.

Z tego wszystkiego niewiele by sobie robił, gdyby sam jednocześnie prowadził walkę z Culmerem i jego bandą. On jednak nie tylko nic dotychczas nie przedsięwziął, ale nie wie jeszcze wszystkiego, co mu do tej walki jest potrzebne.

Wracał do domu zły, przede wszystkim na siebie...

W domu zastał nieoczekiwanego gościa. Czekał na niego ksiądz Rybarzewski.

- Jakżem rad! - zawołał Twardowski, ściskając rękę proboszcza.

- Co księdza sprowadziło do Warszawy?

- Przyjechałem do pana - odrzekł ksiądz z jakąś dziwną powagą. - Czy ma pan czas dla mnie?

- Ile ksiądz zechce.

Z tonu księdza Twardowski odczuł, że przywiózł coś ważnego. Zadzwoił na Michała i oznajmił mu, że nie ma go dla nikogo w domu.

- Przyszedłem panu powiedzieć wszystko, co wiem o ś. p. Alfredzie Twardowskim

- zaczął ksiądz od razu. - Robię to, bo mam do tego prawo i dziś uważam to za swój obowiązek.

Twardowski szeroko otworzył oczy. Słuchał z napięciem, co ksiądz powie dalej.

- Dlaczego nie powiedziałem od razu? – ciągnął ksiądz.- Nieboszczyk stryj pański nie chciał pana obarczać tym spadkiem. Pozwolił mi opowiedzieć panu jego historię tylko wtedy, gdy dojdę do przekonania, że to panu jest potrzebne, że bez tych wiadomości mogłaby się panu stać krzywda. Włożył tym sposobem na mnie wielką odpowiedzialność. Z początku miałem zamiar nic nie mówić; potem, poznawszy pana i widząc, czym dla pana jest pamięć stryja, zacząłem się wahać; wreszcie, po ostatniej rozmowie z panem dowiedziawszy się, że jego wrogowie zaczęli i pana prześladować, po długiej walce ze sobą postanowiłem powiedzieć wszystko.

- Bogu dzięki - odetchnął z ulgą Twardowski.

- Jestem zatem tutaj i będę mówił.

Twardowski wziął blok papieru i ołówek.

- Można zapisywać?

-Trzeba.

- Jak panu wiadomo - zaczął ksiądz – nieboszczyk stryj pański ukończył studia handlowe za granicą, po czym w paru krajach praktykował. Był zdolny, pracował dobrze, z pracy jego byli zadowoleni, ale czuł, że traktują go zawsze jak obcego, co mu trochę dokuczało. Raz - a było to w Belgii- powiedział mu jego zwierzchnik, że bardzo go ceni za jego zdolności i że do pójścia wyżej brak mu tylko jednego: należenia do związku, popierającego swoich ludzi, zasługujących na zaufanie. Przedstawił mu tę organizację w tak korzystnym świetle, że pan Alfred długo się nie wahał. Wstąpił do grupy „Związku uczynnych grabarzy”. To go zbliżyło z osobistościami, wyżej stojącymi od niego i w Belgii, i w Anglii, do której potem się przeniósł, i w Niemczech, gdzie w końcu dostał wcale odpowiedzialne stanowisko.

Gdy wracał do kraju, otrzymał przedstawicielstwo paru poważnych przedsiębiorstw zagranicznych i list polecający do znanej osobistości w Warszawie, na skutek którego został wprowadzony do tutejszej grupy Związku.

- Pan Twardowski był człowiekiem energicznym, inteligentnym, biegłym w interesach, miał szczęście do ludzi. Powodziło mu się świetnie, zaczął robić pieniądze i majątek jego powiększał się coraz szybciej. Nie potrzebował już niczyjego poparcia, raczej jego poparcia ludzie szukali. Stosunki jego w kraju i za granicą rozrosły się, zdobył sobie pozycję, uważano go za powagę w rzeczach przemysłowych i handlowych. W grupie Związku, której sprawami z braku czasu zajmował się niewiele, chodzono koło niego; awansowano go na coraz wyższy stopień. Na czoło tej grupy wysunął się niejaki Culmer, jakoby pochodzenia angielskiego, zdolny adwokat, któremu pan Alfred powierzył prowadzenie swoich spraw, choć wietrzył w nim Żyda.

- Stopniowo zaczęły mu się rozmaite rzeczy w grupie nie podobać. Uderzył go wrogi stosunek "braci" do ludzi, których on bardzo cenił i uważał za dobrych obywateli kraju i popierania żywiołów, które jego zdaniem szerzyły w kraju anarchię. Zaczął się bacznie przyglądać robocie Culmera i jego podwładnych. Wreszcie zatrwożył się, gdy na kilka już lat przed wybuchem wielkiej wojny spostrzegł, że grupa zaczęła energicznie szerzyć sympatie dla Niemców i z zawziętością zwalczać tych, którzy byli ich wrogami. Znal on potęgę Niemiec dobrze i zamiary ich względem Polski rozumiał. Widział, że ci, z którymi on jest związany, dążą do wydania Polski w ręce najstraszniejszych wrogów. Na jednym więc z posiedzeń grupy zabrał głos i usiłował przekonać ich, że są na złej drodze. Ale oni słuchali go z niechęcią - nie próbowali nawet zbijać jego wywodów. Widział, że idą za jakimś nakazem, któremu nie są zdolni, czy nie chcą się opierać i że on będzie musiał iść za nimi. Wtedy sumienie się w nim zbudziło...

- "Powiedz mu nie tylko - to są słowa stryja pańskiego - co się działo koło mnie, ale i co się we mnie działo; to ważniejsza". Dlatego muszę na krótko przerwać swoje opowiadanie. Pan Alfred wtedy, kiedy go poznałem, był człowiekiem głębokiego sumienia. Widziało się, że przemyślał wiele, przetrwał w duszy wszelkie wątpliwości moralne swego położenia, wiedział mocno, co jest złe, a co dobre. Ale nie zawsze był takim... Nie chce powiedzieć, żeby był kiedykolwiek zły - był tylko powierzchowny moralnie, żył, nie zaglądając do głębi swego sumienia. Iluż ludzi, panie, którzy wcale nie są złymi, żyje bez sumienia, bez ścisłego zważenia tego, co jest złe i dobre, bez zastanowienia się nad skutkami swych czynów, bez poczucia odpowiedzialności. Postępują poprawnie, bo dbają o opinię, w lepszym zaś razie, bo sami siebie szanują. Ale nigdy nie próbują sądzić siebie samych, pociągać siebie do odpowiedzialności za to, co zrobili, odpowiedzieć przed sumieniem, czy postąpili dobrze, czy to, co zrobili, nie jest wielkim, śmiertelnym grzechem. Ta płytkość moralna jest najczęściej udziałem ludzi, którym się powodzi, którym życie płynie gładko, bez wielkich przeszkód, bez katastrof...

Twardowski słuchając zastanawiał się, skąd ten prosty proboszcz wiejski doszedł do takich rozważań i do takich głębokich poglądów na duszę, na sumienia ludzkie?

- Takim był do owego czasu pan Alfred - ciągnął proboszcz - Był człowiekiem, jak się mówi, porządnym. Nikt nie mógł zarzucić, żeby zrobił coś brzydkiego. Wśród ludzi, prowadzących interesy, był gwiazdą; honorowy, słowny, otwarty, nie używał nigdy podstępu, współzawodniczył lojalnie, pieniądze robił uczciwie. Sam się szanował i ludzie go szanowali. Poza tym mało rzeczy go obchodziło; nie miał czasu ani na zajmowanie się innymi sprawami, ani na głębsze zastanawianie się nad sobą.

Należał do „grabarzy” i nigdy nie zadawał sobie pytania, czy to jest moralne, w jakim położeniu go to stawia wobec innych ludzi i społeczeństwa. Nie przeszkadzały mu skrupuły religijne, bo religijnie był obojętny. Był z pochodzenia katolikiem, nigdy nic przeciw religii nie robił, ale ona go nie obchodziła. Ot, taki, jak i wielu innych... Był Polakiem nie tylko z pochodzenia, ale i z przekonania. Poczytałby za obelgę, gdyby mu ktoś powiedział, że jest złym Polakiem. Przeciwnie, uważał, iż ma zasługi dla Polski przez to, że pracuje uczciwie i pożytecznie, przyczynia się do wzbogacenia kraju, daje prace i chleb wielu rodakom, a i przez to, że będąc Polakiem, posiada poważną pozycję wśród obcych. Na to, żeby zrobić cokolwiek więcej dla Polski, nie miał czasu. Nie uważał też, żeby z jego polskością kłóciło się należenie do międzynarodowej organizacji, która mu ułatwia stosunki w świecie. Dopiero w ostatnich latach zaczął mieć w tym względzie pewne wątpliwości...

- I oto naraz stanął wobec wielkiego zagadnienia. Mając duże stosunki w świecie finansowym za granicą, słyszał nieraz poufne rozmowy, które finansiści tylko między sobą prowadzi, i otrzymywał wiadomości, które oni między sobą zachowują, żeby nie wywoływać popłochu na giełdzie. Mówiono o niebezpieczeństwie wielkiej wojny w krótkim czasie. Rozumiał, że w tej wojnie mogą się rozegrać losy jego ojczyzny. I oto w tej chwili ludzie, z którymi on sam mocnymi węzłami jest związany, przygotowują wydanie Polski w ręce najzjadlejszego, najgroźniejszego jej wroga. Całą jego istotą wstrząsnął wydobywający się z głębi jego duszy głos wielki, głos polskiego sumienia...

- Coś się w nim nagle zmieniło. Stał się innym człowiekiem. To wszystko, czym się w życiu zajmował, do czego największą wagę przywiązywał, stało się w jego oczach drobnym, małym... On sam, idący dotychczas śmiało przed siebie, mocny, dumny, wydawał się sobie marnym, nikczemnym niewolnikiem, narzędziem w rekach wroga... Ten stan prostracji trwał krótko. Przyszedł bunt. Odezwała się jego duma, która nie pozwalała ustąpić bez walki do ostatniego, ta szlachetna, uczciwa duma, która każe wyrządzoną krzywdę naprawić, żeby być w porządku z sobą, żeby móc sobie nadal śmiało patrzeć w oczy. A tu było skrzywdzone całe społeczeństwo, jego własny naród. Ponownie moc w niego wstąpiła. Postanowił walczyć ...

- Był człowiekiem zbyt wytrawnym, zbyt znającym życie i ludzi, zbyt nawykłym do planu w działaniu, ażeby się szamotać w bezcelowych i bezskutecznych wysiłkach. Miał tyle mocy, że zimnej krwi nie stracił. Nie od razu zerwał z grabarzami. Postanowił przedtem wykryć tajne sprężyny ich polityki, poznać źródła nakazów i sposoby używania Polaków do służby przeciw ich własnej ojczyźnie. W tym celu uciekł się po raz pierwszy w życiu do podstępów. Zaprzeszał sporów ze swą grupą, Culmera uspokoił powiedzeniem, iż nie wiedział, że tu istnieje wyraźny nakaz, któremu się nie wolno sprzeciwiać. Nawykli do posłuszeństwa, uznali to za poddanie się i byli zadowoleni. Zaczął częściej niż przedtem jeździć do Berlina. Tam znano i mówiono z nim dość otwarcie. Wiedząc, że ma dużą pozycję w Polsce, i obiecując sobie ją wyzyskać, kształcono go politycznie. Z Berlina kierowano do Budapesztu, z którego szło wiele rozkazów do Polski. Bywał też w Wiedniu, gdzie mieściła się kuźnica rozmaitych na Polskę planów. W ciągu krótkiego czasu poznał prawie wszystko. Korzystano nawet z jego usług do przesyłania ważnej korespondencji.

- Gdy uznał, że już wystarczy to, czego się dowiedział, poszedł do Culmera i oświadczył, że nie może się pogodzić z polityką grupy i ze z nią zrywa. Nie wręczył mu przy tym ostatniego listu, który przywiózł dla niego, a który się okazał dokumentem niesłychanej wagi. Culmer się przeraził: spróbował go przekonywać - gdy to nie skutkowało zaczął grozić. Stryj pański na groźby odpowiedział drwinami.

Gdy Culmer zażądał od niego wydania wszystkich dokumentów grabarskich oraz książek, dostępnych tylko dla wtajemniczonych, pan Alfred odpowiedział, że rozumny człowiek nie pozbywa się broni, która ma w reku i dodał, że zdobył świeżo najważniejszy dokument, który był przeznaczony dla Culmera. Ten szalał po prostu. Rozstali się śmiertelnymi wrogami. Pan Twardowski nie omieszkał natychmiast odebrać osobistych spraw swoich Culmerowi i powierzył je adwokatowi Osieckiemu...

- Nie przyszło mu na myśl, że jego nowi wrogowie posiadają jedno straszne narzędzie walki - oszczerstwo. Rychło się o tym przekonał. Po miesiącu zaczęły krążyć najpotworniejsze wieści o sposobach, jakimi doszedł do majątku: głównym tego majątku źródłem miały być pieniądze, otrzymywane od rządu rosyjskiego, którego był rzekomo agentem politycznym i szpiegiem. W innych sferach szerzono podrywające mu kredyt pogłoski o bliskim jego bankructwie. Śmiał się z tego, to znów gniewał się, ale to go nie zniechęcało do walki. Wypowiadał wszędzie i głośno swoje poglądy polityczne, w poważnych kolach wygłaszał referaty o grożącym Polsce niebezpieczeństwie, o intrygach niemieckich w naszym kraju, o roli Żydów i tajnych organizacji. Założył nawet pismo, które otwarcie wskazywało grabarzy jako organizację pracującą dla interesów niemieckich. Niebawem spostrzegł, że interesy jego zaczynają cierpieć, że skryta robota przeciw niemu może go z czasem doprowadzić do dużych strat. Wtedy powiedział sobie, że ma dosyć pieniędzy i zaczął likwidować swe interesy.

- Zaczęli mu przysyłać listy z pogroźkami. Dostał nawet wyrok śmierci z podpisem jakiejś rewolucyjnej organizacji, o której nigdy nie słyszał. Dokonano na niego napadu w nocy, gdy wysiadał przed swym domem z samochodu. Uratowała go zimna krew i pomoc szofera.

- Ale mu zadali jeden cios potężny. Pan Alfred w owym czasie miał się żenić. Kochał kobietę głęboką miłością, jaką może kochać tylko dojrzały, silny mężczyzna czterdziestoletni, który z całą świadomością dokonał wyboru. Miał jej wzajemność i obiecywał sobie wielkie szczęście. Przyszli do jej rodziców i powiedzieli im, że on jest nieuleczalnie chory, zagrożony obłąkaniem. Ona temu nie chciała wierzyć, Przeprowadzili wszakże tak poważnych świadków, dostarczyli tak niezbitych dowodów, że rodziców przekonali, a w końcu uwierzyła i ona. Uciekła z Warszawy, zostawiając list z pożegnaniem na zawsze. Wkrótce wyszła za innego, za wdowca po swej siostrze, szukając ocalenia przed wariatem...

- Pani Czarnkowska - szepnął Zbigniew.

Ksiądz spojrzał na niego zdziwiony i przytaknął głową.

- Nieszczęśliwa ofiara ludzkiej podłości... To był cios potężny, który go złamał. Odtąd już nie miał tej siły, tej pewności siebie w prowadzonej walce, czuł, że nieprzyjaciel umie uderzać skutecznie. Walczyć nie przestał... Coraz mniej wszakże wierzył w skuteczność swych wysiłków, coraz więcej się gryzł... Wszedł w siebie, rozmyślał nad swoim życiem, zaczął na nie patrzeć jako na jeden wielki błąd, oskarżał siebie przed sobą samym, sądził siebie niemal jak zbrodniarza. „Jestem drugim Twardowskim - mówił potem do mnie - który sprzedał duszę diabłu”. Te rozmyślenia doprowadziły go do Boga. Kiedy go poznałem, był szczerym, głębokim, mądrym katolikiem, człowiekiem, którego bym nazwał świętym, gdyby nie ta nieubłagana nienawiść, którą zawsze żywił dla wrogów. Dla innych ludzi miał wszakże więcej miłości, niż jakikolwiek inny człowiek, którego w życiu nie widziałem. Nie śmiał myśleć o tym, że pan jego walkę podejmie i nie chciał jej panu narzucać..

- Ale jestem pewien, że tego pragnął - zakończył Zbigniew.

Ksiądz milczał.

Przez długą chwilę siedzieli obaj, nie mówiąc ani słowa.

- Cóż mam więcej panu powiedzieć? - rzekł ksiądz. - Resztę pan wie lepiej ode mnie.

Twardowski wyciągnął rękę do księdza.

- Dziękuję - rzekł. - Teraz już wiem wszystko, co mi potrzeba. Dowiedziałem się na czas. Właśnie w tej chwili tego mi brakowało. Wiele się domyślałem, ale teraz mam fakty, które są bronią w moim reku. Teraz niech ksiądz posłucha ..

I zaczął opowiadać swoje doświadczenia na gruncie warszawskim.

Ksiądz słuchał podniecony. Widać było, że to wszystko ma dla niego osobiste znaczenie. Gdy Twardowski skończył, rzekł:

- Gdyby mi tego jeszcze było potrzeba, dowiódł mi pan swym opowiadaniem, że postąpiłem ściśle z wolą zmarłego i że mam w tej sprawie sumienie czyste. Zgrzeszyłem ciężko, gdybym był panu nie odsonił całej tajemnicy życia ś. p. stryja pańskiego... Ale teraz mam nową troskę...o pana.. panie Zbigniewie. Zabrnął pan już za daleko, że się pan nic cofnie - to dla mnie oczywiste. To ciężka i niebezpieczna walka. Czy nie mógłbym się panu w niej przydać? Ale jak? W jaki sposób? Martwi mnie i gniewa, że tego nic widzę... Będę się za pana modlił; gdy mnie pan zawoła zawsze się stawie. - O jedno pana proszę. niech pan sprowadzi do Warszawy Grzegorza. To nieoceniony człowiek; przyda się panu w niejednej rzeczy. I będę spokojniejszy, gdy on przy panu będzie. Niech pan też sprowadzi swój samochód; będzie panu wygodniej, lepiej, żeby pan jeździł ze swoim szoferem. pewnym człowiekiem.

- Ksiądz umie o wszystkim myśleć.

- To są nauki z długich rozmów z nieboszczykiem stryjem pańskim.

- Posłucham rady. Dotychczas starałem się występować skromnie, uchodzić za biedniejszego niż jestem; nie mieć za wiele służby i jeździć taksówkami. Ale teraz, po tym, co pan Culmer puścił między ludzi, własny samochód tylko będzie potwierdzał opinie, że jestem lekkomyślnym bankrutem.

Zaśmiał się wesoło.

Ksiądz nie chciał zostać na obiad i odjechał najbliższym pociągiem.

Twardowski po jego odejściu zatelefonował do Culmera z zapytaniem, czy nie może mu jutro zabrać na godzinkę czasu. Mecenas skwapliwie wyznaczył ranną godzinę. Może zrodziła się w nim nadzieja, że uparty filozof zląkł się i zmienił postanowienie.

Źródło: [www.endecja .pl](http://www.endecja.pl)